Nr 38 (1600). Warszawa, 23 września 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Czerwona mgła.

Krążą pogłoski, że kiedy w Petersburgu dowiedziano się o tragicznej śmierci p. Stołypina, grono wybitnych dygnitarzy zebrało się u p. Kryżanowskiego i po krótkiej naradzie orzekło, że niema powodu do zmiany obecnego systemu rządzenia.

Ludzie, którzy w ten sposób przeszli do porządku dziennego nad katastrofą kijowską czynią na nas wrażenie, jakby chodzili omackiem spowici gęstą mgłą, która przesłania świat cały przed ich oczami.

Bo nic chyba jaskrawiej nie wykazało nicości tego systemu, jak warunki, w których zginął w Kijowie prezes rady ministrów od kuli ajenta *ochrany*. Instytucja, z nakładem tak olbrzymich kosztów i ciężarów moralnych powołana do trzebienia „kramoły" była poprostu stopniem, po którym zabójca wspiął się wygodnie aż do bezpośredniego sąsiedztwa najwyżej postawionych osób, żadnych po drodze nie spotykając przeszkód. Nie dość na tym: broń nawet otrzymał Bogrow z rąk naczelnika *ochrany* wraz z biletem wejścia do teatru, czujnie strzeżonego przez petersburską, moskiewską, warszawską i kijowską policję. Nic dziwnego, że naczelnik *ochrany* prawie postradał zmysły pod wrażeniem wypadku, a z tłumów, zebranych na ulicy, padały wrogie dlań okrzyki, jako dla pośredniego sprawcy katastrofy.

Lecz podp. Kulabko był nadto pośrednim ogniwem łańcucha, którym zmarły premjer omotał całe państwo, nie wiedząc, że zaciąga śmiertelny węzeł na własnej szyi. P. Stołypin nietylko doprowadził system ochrany do niebywałego stopnia potęgi i władzy, lecz utrzymał w nim nadal szereg ajentów—prowokatorów, chociaż po świeżych rewelacjach w sprawie Azefa domagano się głośno skasowania tego systemu—ze względu choćby na bezpieczeństwo wysoko postawionych osób. Domagała się tego Duma wespół z całą opinją; premjer jednak zachował istniejący stan rzeczy, w którym Bogrow mógł działać ze wszelką precyzją i wygodą — i to było przyczyną jego zguby

Żaden z następców p. Stołypina nie może być pewnym, czy nie dozna podobnego losu.

Dopóki bowiem istnieje i działa w państwie organizacja, oparta na współżyciu szpiega i terorysty często w jednej osobie, dopóki nie będzie wiadomo, gdzie kończy się spisek rewolucyjny, a zaczyna podstępna prowokacja — osoby najczujniej strzeżone nie będą pewne dnia ani godziny. We współczesnym życiu rosyjskim, obfitującym w rzeczy nieprawdopodobne ale prawdziwe, jest to jeden z najbardziej paradoksalnych rysów systemu, za utrzymaniem którego opowiedzieli się zebrani u p. Kryżanowskiego dygnitarze...

Nierównie więcej, rzecz prosta, bo bezpośrednio dotyczy nas inna jego właściwość, która sprawia, że słynna formuła p. Stołypina: najpierw uspokojenie, potym reformy — pustym pozostała dźwiękiem.

Zmarły premjer był może niepospolitym mężem stanu co do energji i charakteru, ale nie stać go było na ten elementarny zasób techniki i wiedzy politycznej, która uspakaja rozumną reformą zamiast miażdżyć ślepą represją. W chwili obecnej pierwszym aktem takiej reformy winno być zniesienie stanów wyjątkowych i związanej z nimi *ochrany*, która dla swych cech specyficznych, zawodowych, gotowa stać się w końcu pepinierą przestępstw i zamieszek.

Drugim aktem reformy, niezbędnej do uspokojenia państwa, winno być zaprzestanie szczucia jednych grup ludności na inne, co nosi urzędowe miano nacjonalizmu, a w skutku prowadzi do klęski kultural-

nej wskutek niebywałego zdziczenia mas. Zdaje się to pojmować domniemany następca zmarłego premjera, p. Kokowcew, chłodny empiryk i rachmistrz, przeciwnik „ideowych" uniesień w systemie rządzenia.

Jeśli istotnie, jak niesie fama, nie jest p. Kokowcow człowiekiem „idei" w stołypinowskim znaczeniu tego słowa — to byłaby szczęśliwa dla wszystkich okoliczność.

Idea w Rosji odgrywa rolę olbrzymią. Z natury rzeczy przejawia się ona w tym kraju na dwóch sprzecznych biegunach: w postaci niezłomnych mężów stanu i w postaci nieprzejednanych przewrotowców. Jedni i drudzy nie chcą słyszeć o żadnym kompromisie; jedni i drudzy z posępną zaciekłością giną w imię idei z niezwykłym a nieugiętym męztwem; nad świeżą ich mogiłą dwie skrajne ideje zwierają się z nową siłą.

Tożsamość metod, nieomal tożsamość osób i charakterów w rewolucyjnym podziemiu i na szczytach władzy — to znów osobliwość życia rosyjskiego, zaklętego w mgliste koło terroru, który sam się odradza i sam siebie karmi.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Sprawa marokańska. — Rozruchy we Wiedniu. — Monarchiści portugalscy. — Zaburzenia w Hiszpanji. — Klęska ex-szacha.)

W ciągu minionych dwóch tygodni sprawa marokańska postąpiła naprzód w sensie bliższego określenia żądań i zaofiarowań obu stron, co jednak nie przyczyniło się bynajmniej do usunięcia grozy wojennej, zawieszonej nad najbardziej kwitnącymi krajami Europy. Raczej przeciwnie: panika finansowa w Niemczech, skąd kapitaliści francuscy wycofali kilkaset milionów, a ludność uboższa rzuciła się tłumnie do państwowych kas oszczędności po odbiór swoich pieniędzy; pośpieszne zbrojenia Holandji i Belgji od granicy wschodniej, narażonej na przemarsz wojsk niemieckich w razie wojny; gotowość floty angielskiej i ton dzienników londyńskich, niepodzielających sztucznego optymizmu Berlina — to są wszystko symptomy, wskazujące na głębię obecnego kryzysu, zbyt może pośpiesznie wzbudzonego przez dyplomację niemiecką, która dziś w dość trudnych znalazła się warunkach.

Należy bowiem zauważyć, że Niemcy wystąpiły zrazu z żądaniami tak wygórowanymi i trudnymi do przyjęcia, że dziś, wobec energicznej postawy Francji i nacisku angielskiego, wszelka ich redukcja będzie porażką dyplomatyczną Niemiec, porażką jakiej nie znała polityka Hohenzollernów od pół wieku.

Główne zarysy sporu są takie: Francja stawia za warunek *sine qua non* zupełną dla siebie wolność działania w Maroku gwarantując natomiast innym państwom równe ekonomiczne prawa, bez żadnych dla kogokolwiek przywilejów. Wzamian, tytułem rekompensaty, dostaną Niemcy część francuskiego Kongo z wyjściem na ocean Atlantycki na północ od Libreville. Jest to cena słona; płaci ją Francja hojnie by uzyskać wolną ręką w Maroku.

Tymczasem Niemcy wzbraniają się uznać punkt, traktujący o równości ekonomicznej w Maroku, pragną bowiem dla siebie *specjalnych* w tym kraju *przywilejów w przemyśle i handlu.*

O ten szkopuł rozbija się dotąd, jak słychać, akcja pojednawcza. Francuzi nie chcą słyszeć o przywilejach; półurzędowy *Temps* wyłuszcza to w ostrym tonie, w całym szeregu artykułów, z nieubłaganą logiką i maestrją rozbijając postulaty niemieckie.

Nadto dają pisma francuskie do zrozumienia, że nawet gdyby Rzeczpospolita zgodziła się na żądania niemieckie, to w żadnym razie nie zgodzi się na to Anglja, która znacznie większe od Niemiec włożyła kapitały w interesa marokańskie.

Mimo to Niemcy obstają przy swoim, przez co położenie wikła się coraz bardziej, a nastrój zaczyna być nerwowy. We czwartek oba rządy wystąpiły z notami, stanowczo odrzucającymi możliwość dalszych ustępstw.

Nastąpił zatym w całym zatargu zwrot bardzo niebezpieczny; najmniejszy wypadek może ciężko zaważyć na szali. Przewidywana przez nas recydywa ostrego kryzysu nastąpić może lada dzień. Niemcy zostały przy-

---

3)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

Widok brudnego podwórza z jednym suchotniczym drzewkiem akacji — plunął mu w twarz obrzydzeniem. Z niekłamaną trwogą spojrzał na czarne kręcone wschody, po których tyle razy chodził, omdlewając z głodu, i cofnął się czemprędzej na frontowe schody, prowadzące do mieszkania gospodarza.

— Czy jest pan Górnicki w domu? — zapytał służącej.

Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź a wspaniałomyślnie wpuszczony do salonu, co się rzadko któremu lokatorowi trafiało — rozsiadł się na otomanie i czekał.

Za chwilę przybiegł z uprzejmym uśmiechem nieco pochylony kamienicznik. Zobaczywszy Andrzeja, zrobił wielce zabawną minę.

— Pan Czerwiński?

— Tak ja! Przyszedłem oddać panu zaległe komorne.

Twarz gospodarza oblała się słodką uprzejmością.

— Proszę, niech pan pozwoli.

Przepuścił go przed sobą i zlustrował garderobę poety bardzo starannie. Widocznie oględziny wypadły pomyślnie dla Andrzeja, gdyż p. Górnicki był coraz uprzejmiejszy. Bardzo serdecznie poprosił aby usiadł i poczęstował papierosem, długo ceregielując się przy zapaleniu, gdyż pan gospodarz pod żadnym pozorem nie chciał zapalić pierwszy, twierdząc, że „gość w dom, Bóg w dom". Po chwili Andrzej wyjął pugilares Jana i z miną człowieka oddawna przyzwyczajonego do pieniędzy położył na stole 48 rubli.

Górnicki skłonił głowę.

— Dziękuję panu—rzekł. Doprawdy, że pierwszy raz w życiu spotykam się z taką sumiennością u panów... poetów, dodał z pewnym wahaniem. Bo to już prawie zwyczaj, że panowie artyści nie płacą komornego.

— Bo nie mają z czego — odrzekł Andrzej. — A nie każdego tak jak mnie spotyka szczęście niespodziewanie.

— No, otrzymał pan spadek?

— Tak, po babce — skłamał bez wahania poeta. Umarła kobiecina i poczciwa nie zapomniała o mnie.

— Dużo tego?

— Nie wiele, ale zawsze. 50 tysięcy!

— No, no, to bądź co bądź suma—rzekł z uznaniem gospodarz. — Napije się pan kawy? I nie czekając na odpowiedź, zadzwonił na służącą.

parte do muru; jeśli tym razem nie dobędą miecza, którym tak chętnie pobrzękują — wówczas rozpowszechniona wersja o *bluffie* niemieckim stanie się pewnikiem niezbitym...

Nerwowy nastrój Europy zwiększają jeszcze, obok powszechnie odczuwanej depresji finansowej, rozruchy drożyźniane, które, wślad za Francją, wybuchły z niezwykłą siłą we Wiedniu ubiegłej niedzieli. Zebrany dla protestu przeciw polityce cłowej rządu stutysięczny tłum wpadł we wściekłość, wybił szyby w ratuszu, zburzył kilka gmachów rządowych i toczył krwawe walki z policją na barykadach ulicznych, wołając: Niech żyje republika! Niech żyje Portugalja!

W tym samym czasie monarchiści portugalscy, skupieni na granicy pod przychylnym okiem władz hiszpańskich, zaopatrzeni obficie w broń, żywność i pieniądze, gotują się do wkroczenia do ojczyzny, z której z takim despektem umykać musieli.

Rząd rzeczypospolitej gotów jest każdej chwili rzucić na ich spotkanie armię 20 tysięczną, która łatwo da sobie radę z najazdem emigrantów i chłopską „Wandeą", o ile, rzecz prosta, Hiszpania zachowa się neutralnie.

Trudno zaś by zachowała się inaczej, mając do czynienia u siebie z nowym paroksyzmem strajków i rozruchów, który wybuchnął ze straszną siłą i niby pożar ogarnął sporą część kraju. Przoduje, jak zwykle, Barcelona, gdzie ideja republikańska silną ma podstawę; w Saragossie, Bilbao i Walencji położenie musi być krytyczne, bo ogłoszono tam stan oblężenia. Według ostatnich depesz, ruch poczyna przybierać charakter anty monarchiczny, można się jednak obawiać, że obecność w Hiszpanji licznych żywiołów anarchistycznych pchnie go na niepożądane tory *przewrotu społecznego*, co wywoła niechybną reakcję

Przedsiębiorczy ex-szach Mahomet-Ali, który z Odesy wybrał się był do Persji po straconą koronę i berło „króla królów" — mimo dyskretnej pomocy sąsiada poniósł sromotną klęskę koło Teheranu i pośpieszył wycofać się z imprezy. Można przypuszczać, że tym razem odwrót byłego szacha będzie ostateczny.

Z zagadnień współczesnej polityki marksizmu.

Demokracja społeczna przypisuje *Kapitałowi* Marksa w rozwoju nauk społecznych tę samą doniosłość, jaką w dziejach fizyki posiadły *Zasady* Newtona. Założenia, z których wychodzi Marks, są, jej zdaniem, równie pewne, jak te, na których opierał się Newton; dowody — równie oczywiste; wnioski — równie uzasadnione. Powszechną siłę ciążenia zastępowała w układzie Marksa solidarność powszechna proletarjatu, a nieubłagana walka klas — w ekonomji społecznej — odpowiadała sile powszechnego odpychania w ekonomji kosmicznej.

Ideom Marksa socjalizm zawdzięczać ma wzniesienie się z chaosu utopji, w którym przebywał uprzednio, na poziom doktryny naukowej. „Dwa wielkie odkrycia, — pisał w r. 1877 Engels — zapewniły socjalizmowi wartość naukową: koncepcja materjalistyczna historji oraz teorja nadwartości".

Engels, proklamując tytuły do sławy naukowej Marksa w tej zlekka pretensjonalnej formie, chciał, bez wątpienia, uwydatnić *przełomowość* teoretycznych zdobyczy swego przyjaciela a jednocześnie usiłował przelać na socjalizm wszystkie uroki dobrodziejstw, którymi, po roku 1870, promieniować się zdawał w oczach całego narodu niemieckiego cudowny wyraz: N a u k a. Powszechnie powtarzano wówczas, że olśniewające zwycięztwa zawdzięczały Niemcy wyższości swej nauki; drogę poszukiwań badawczych i odkryć naukowych utożsamiono z pochodem tryumfalnym ku niezawodnym podbojom w dziedzinie społecznej i państwowej; samotne ścieżki, którymi kroczyć zwykli uczeni, odkrywcy i badacze, niespodzianie uświetnione zostały iluminacją armatniego ognia z pod Sedanu: demokraci społeczni upatrywali tedy oczywistą korzyść w nastręczeniu ludowi przekonania, że zwycięztwa proletarjatu będą równie świetne, jak zwycięztwa armji niemieckiej, jeżeli tylko posłusznie podda się on wskazaniom uczonych, rozumie się — uczonych z obozu demokracji społecznej.

Trzeba dodać jeszcze, że w literaturze socjali-

Jego szczupła, pół żydowska twarz mechesa, wyrażała pewne zakłopotanie. Wykwintny strój Andrzeja, skropiony doskonałymi perfumami Pinaud'a i sam poeta spokojny i wytworny, niczym nie przypominał Górnickiemu obdartego nędzarza, który chwiejąc się z głodu, proponował mu kupno potłuczonego wazonu za 20 kop., i wprowadzał go w stan nieprzyjemnego zmieszania.

— Bardzo się pan zmienił — rzekł wreszcie, jak mógł najprzyjemniej. — Nigdybym pana na ulicy nie poznał.

— Bardzo wierzę, gdyż trzeba przyznać, że między mną obecnym, a tym, który miał nieszczęście być pańskim lokatorem, zachodzi pewna różnica.

— Tak, wtedy się panu nie bardzo powodziło. Cóż robić, kiedy dzisiaj takie czasy, że mało kto czyta poezje. Ja np. nie mam czasu. Ciągłe interesy, kłótnie z lokatorami, bieganie do cyrkułów, do komorników, do magistratu z podatkami...

— Tam najciężej!

— No, zapewne, któż to lubi płacić.

— Ale komorne to się dusi — rzekł Andrzej, uśmiechając się niby życzliwie.

Pan Górnicki machnął lekceważąco ręką.

— E, proszę pana. Zdaleka to się zdaje, że kamienica, to świetny interes, a jak da 12 proc. a już 15 proc. — to wielkie rzeczy!

— Kamienica nie da, tylko lokatorzy, którzy kamienicę zamieszkują, muszą się opłacać, jak piratom! Ja tam nie mam zamiaru panu ubliżać — rzekł obłudnie poeta — bo wiadomo powszechnie zresztą, że pan nic niema wspólnego z tymi łotrami, którzy krwią nędzarzy się żywią, — ale popatrz pan na swoich kolegów! Szubrawiec w szubrawca! Im kto biedniejszy, tem stosunkowo musi więcej płacić za ten dach nad głową, który nie zawsze jest cały, bo panu gospodarzowi szkoda pieniędzy na reparację! I jeszcze ciągłe podwyżki! Żona musi wyjechać do Ostendy, więc każde mieszkanie idzie o rubla wyżej! Córka wychodzi za mąż — nowe wydatki! Pan kamiecznik z zimną krwią wysyła stróża i oznajmia swoim niewolnikom, że ten od tej pory będzie płacił 3 ruble więcej, ten rubla, ten 5 rubli i t. d. I cóż robić! Biedna szwaczka, co się utrzymuje z szycia koszul po 2 złote, wynędzniały, o żółtej twarzy szewc z krzywymi nogami, zgarbiony od pracy stary stolarz, ledwie dyszący profesor łaciny, zarabiający na utrzymanie swojej rodziny pisaniem książek naukowych, biedna zieleniarka z sutereny, suchotnik student i taki jak ja, byłem nędzarz, pierwszej klasy, zdychający z głodu na facjatce — wszyscy składają się na wyprawę dla córki kamienicznika, który leży na kanapie i tyje, albo udaje, że pracuje w biurze, gdzie od 10-ej do 3-ej pija na koszt dyrekcji!

— No, tak dobrze nie jest — rzekł kwaśno gospodarz. Wreszcie nikt nikogo nie zatrzymuje. Każdy lokator może się wyprowadzić.

— Ale dokąd? — skoro sąsiad zgrał się w karty

stycznej przewija się ustawicznie idea, że marksizm jest systemem materjalistycznym, a więc wiedzą, zorganizowaną na wzór nauk przyrodniczych, i w równym, co one, stopniu iszczącą w sobie warunki ścisłości i harmonji.

Atoli ktokolwiek dzieło Marksa zgłębiał bez tej osobliwej dewocji, która żarliwcom jego kultu każe klękać przed majestatem litery, a ogrom podjętego przezeń wysiłku myślowego pojmować jako wieczyste zwolnienie od obowiązku myślenia własnym mózgem, — każdy, kto dzieło Marksa czytał krytycznie i samodzielnie, spostrzec musiał, że nie stanowi ono bynajmniej jednolitej, harmonijnej syntezy, zatoczonej promieniem jakiejś wspólnej idei, z jednego wychodzącej ogniska; przeciwnie, znajdzie on w nim pierwiastki różnorodne, rozmaitego pochodzenia i na rozmaitych rozłożone płaszczyznach; oczywiście też i wartość ich nie jest jednakowa. Obok materjałów surowych i spostrzeżeń doraźnych, spotykamy uogólnienia filozoficzne; obok uwag i wskazań, związanych z pewnym okresem historycznym, mamy przenikliwe próby ujęcia całokształtu praw dziejowego rozwoju ludzkości.

Jerzy Sorel rozróżnia w *Kapitale* Marksa trzy odrębne grupy zagadnień, mechanicznie tylko z sobą powiązane: naprzód powiada, — znajdujemy tu twierdzenia oderwane z zakresu ekonomji, mające być uzupełnieniem dzieła Ricarda, powtóre — historję ekonomiczną Anglji, przez Marksa uważanej za wzór rozwoju kapitalizmu; potrzecie wreszcie — spostrzeżenia dotyczące warunków, w których odbywa się wielka wytwórczość; spostrzeżenia te ograniczają się niekiedy do przelotnych uwag, rozproszonych pośród innych tekstów, niekiedy zaś występują w postaci rozwiniętej i pełnej

Która z grup owych posiada znaczenie najdonioślejsze? — Na pytanie to dawano odpowiedzi różne. Wszelako z zestawienia ich w czasie zdaje się wynikać niewątpliwie to jedno, że gdy do niedawna za wiekopomną zasługę Marksa uchodziły odkrycia jego w dziedzinie owej ekonomji abstrakcyjnej, leżące na przedłużeniu badań Ricarda, — czytelnik dzisiejszy, chcący rzeczywistą korzyść odnieść z *Kapitału* coraz baczniejszą zwracać będzie uwagę na grupę zagadnień ostatnią, pogłębiając spostrzeżenia Marksa, poczynione nad wytwórczością fabryczną. Żywotność tej właśnie kategorji zagadnień zdaje się dzisiaj zapowiadać imieniowi Marksa istotną nieśmiertelność.

Ale i w tej dziedzinie odróżniać należy analizę stanu teraźniejszości od dyrektyw, mających wytykać drogi przyszłego rozwoju. Pierwsza może być mniej lub więcej słuszna, może niekiedy zdumiewać nawet głębokością, gdy tymczasem drugie grzeszą dowolnością urojeń, Trzeba pamiętać że Marks, jako badacz, ograniczony był pewnymi szrankami czasu, w którym żył i w którym gromadził zasoby swych doświadczeń i spostrzeżeń. Jakkolwiek potężna była siła jego genjuszu, z konieczności, karmić się ona musiała owocami swej epoki, a więc jednej tylko epoki. Niezawodnie korzystał on z dokumentów i świadectw historji: atoli owe dokumenty i świadectwa historyczne, odbijając się w świadomości pewnej epoki, nabierają zawsze właściwego epoce tej zabarwienia. Inaczej pojmowano upadek Rzymu starożytnego w wieku XVIII, inaczej rozumiemy go dzisiaj my, w wieku XX. Zmiana w pojmowaniu, poczęści zaszła rzecz prosta, wskutek wykrycia nowych źródeł; w znacznym, jednakże stopniu, poza przyrostem źródeł, na zmianę tę oddziałał poprostu nowy kąt widzenia, pod którym dzisiaj ujmujemy przeszłość, zależny od całokształtu dzisiejszej naszej orjentacji umysłowej w świecie.

Idee Marksa zachowały tedy na sobie wizerunek okresu, w którym powstały, odciśnięty stanowczo i charakterystycznie. Nie wytrysły z głowy wszechwiednego bóstwa, nie wyłoniły się z przybytku wieczności, ale uwarunkowane są czasem i przestrzenią; znamy ich rodowód i stanowisko myślowe w łańcuchu myśli społecznej. Patrzymy na to, jak z jednej strony podmywa je oceaniczna głębia Heglizmu, a z drugiej zamula płytka wulgaryzacja Kautsky'ego.

Nie wszystkie wnioski Marksa, wysnute ze współczesnego mu układu wytwórczości kapitalistycznej, wysnute zostały przezeń prawidłowo; a prócz tego, nie wszystkie prawidłowo przemyślane wnioski okazały się zgodne z rzeczywistością; wbrew bowiem zasadzie Hegla, nie wszystko to co racjonalne, bywa zarazem rzeczywiste. Raz po raz rzeczywistość prze-

---

i podniósł komorne miesiąc temu. W społeczeństwie hultajów mogą być także różnice. Jeden większy od drugiego, tamten znów jeszcze nie taki — ale w gruncie rzeczy z bardzo małymi wyjątkami, to szakale, pijawki, wampiry, z których każdy powinien gnić w kryminale. Naturalnie — rzekł z uśmiechem poeta — ja bynajmniej nie mówię tego à propos pana. Pan jest znany na całej ulicy z wyrozumiałości. Przecież ja sam to stwierdziłem na sobie.

— Pan? — zapytał lekko zmieszany Górnicki.

— Wtedy, kiedy umierałem z głodu w pańskim mieszkaniu, pan osobiście przyszedłeś wymówić mi mieszkanie. Ale wzruszony do głębi moją nędzą... zamiast zawołać stróża i wyrzucić moje graty na ulicę, dałeś mi rubla i to zupełnie bezinteresownie, bo nawet nie miałem czasu napisać panu żądanego zobowiązania, że się wyprowadzę. Tego się nie zapomina panie gospodarzu — rzekł z przedziwną dwuznacznością poeta, uśmiechając się niby życzliwie, a właściwie z nienawiścią. — Wtedy, kiedy wszyscy zapomnieli o mnie, pan, który żadnych obowiązków dla mnie nie miałeś — przyniosłeś, pokazałeś i dałeś rubla!...

Wyjął portmonetkę i położył rubla na stole.

— Oddaję panu innego — tamtego schowałem jak talizman... Może przyniesie mi szczęście, jak postronek powieszonego.

Tyle było goryczy w słowach poety, że Górnicki spojrzał nieufnie.

— Tak pan to wszystko mówi — rzekł cicho — jakbyś miał żal do mnie, że ci wówczas przyszedłem z pomocą.

Poeta drgnął z obrzydzenia. Miał przed sobą człowieka, który nie odczuł piekącej ironji w słowach, owianych żółcią nienawiści. Andrzej miał wielką ochotę chwycić go za gardło i krzyczeć prosto w twarz: Złodzieju ludzkiej pracy! pająku trujący, co żyjesz jak wesz z krwi nędzarzy, do ciebie to wszystko mówiłem hyjeno wielkomiejska! Do ciebie i tylko do ciebie szakalu krwiożerczy, który umierających ze znużenia wyrzucasz na bruk i patrzysz w trupią twarz, z obojętnością najedzonego.

Opamiętał się jednak i rzekł spokojnie.

— Niech pan daruje! Nędza wyżarła mi liryzm z serca. Już nie umiem mówić inaczej. Gorycz jest moją towarzyszką do końca życia!

Pożegnał się i wyszedł. Na schodach pogroził pięścią w stronę drzwi.

— Poczekaj, ty złodzieju! Jabym ci inaczej mówił, gdyby to było możliwe.

A Górnicki, chowając pieniądze po jego wyjściu, rzekł z pogardą:

— Bodajbyś się powiesił za tego rubla, który schowałeś na pamiątkę!

C. D. N.

kracza ramy naszych przewidywań i burzy pracowicie wzniesione rusztowania logiki. Rusztowania owe pozostają, same w sobie, spojone mocno i bez zarzutu, atoli walić się muszą, skoro pod nimi zbraknie — gruntu.

Marks, opierając rozwój życia społecznego na rozwoju środków wytwórczości, całą uwagę skupił na wytwórczości tej mechaniźmie i budowie. Badając zaś jej budowę, mocą naturalnej konsekwencji za punkt wyjścia dla dociekań swych przyjąć musiał fabrykę, która stanowi komórkę pierwiastkową w wielkim zespole wytwórczości. Na gruncie fabryki dojrzał zasadnicze, biegunowe przeciwieństwo między robotnikiem a przedsiębiorcą, przeciwieństwo, które wspierając się na podłożu ekonomicznym, sięga jednak w dziedzinę stosunków moralnych i rozcina ludzkość całą na dwa wrogie światy: świat pracy i świat kapitału. Te światy staną się odtąd w oczach Marksa dwoma biegunami, na których ogniskować się będzie i gromadzić elektryczność dziejowa aż do chwili przesilenia, w której nastąpi wyładowanie utajonych potęg w postaci piorunów druzgocących obecny ustrój klasowy społeczeństwa. W łunie olbrzymich fabryk, w żelaznym grzmocie kół posłyszał Marks tętent młotów, kujących oręż dla ostatecznych walk, jakie rozegrać się muszą na pobojowisku historji. „Wszelka walka klasowa jest walką polityczną" — orzekł, a orzeczenie to stało się jednocześnie hasłem organizacyjnym wojującego socjalizmu.

Z kolei jednak hasło to wiedzie ku ścisłemu utożsamieniu państwa z burżuazją, interesów rządu z interesami przedsiębiorców.

Czy utożsamianie to jest słuszne?

Wiemy, że stanowi ono dogmat wiary bezwzględnej prawowiernych marksistów i przez kościół socjalistyczny powszechnie bywa robotnikom do wierzenia podawane, ale czy jest słuszne? Czy rzeczywistość je potwierdza?

Oto pytanie, nad którym pragniemy się zastanowić. Pytanie prawdziwie wielkiej wagi! Na żadnym innym polu konfrontacja teorji z rzeczywistością nie będzie tak płodna w następstwa wskazań praktycznych i uświadomień ideowych, jak właśnie na tym polu, które było polem najcięższych bodaj błędów naszych czasu ubiegłej rewolucji, a i dziś jeszcze bywa miejscem harców pewnej garstki zaślepionych oszołomieńców marksizmu.

Cała polityka socjalistów, ściśle biorąc, opiera się na tej przesłance, że państwo posiada jedynie charakter bierny. Wedle polityki tej, państwo poddaje się posłusznie walce klas i wiernie ją odzwierciedla; państwo samo bywa wynikiem walki klas; zawdzięcza swe powstanie pewnej określonej sytuacji ekonomicznej, od której pozostaje w ścisłej zależności.

(c. d. n.) *St. Romanowski.*

Organizacja kooperatywy spożywczej.

(Dokończenie).

V.

W stosunku do własności rolnej kooperatywa ma ten sam atut: stały zakup produkcji rolnej, co uwalnia właściciela ziemi od całej nieskończenie kłopotliwej strony handlowej przedsiębiorstwa i wzamian za co gotów on będzie robić bardzo daleko idące ustępstwa kooperatywie, których kresem jest przekształcenie tego właściciela w najemnego kierownika z ramienia kooperatywy, pod jej rozkazami i kontrolą pozostającego. Oprócz tego—w stosunku do własności ziemskiej kooperatywa ma inny atut, także już czasami używany przy inkorporacji zrzeszeń rzemieślniczo-przemysłowych. Jak wiadomo obdłużenie własności ziemskiej dosięga w krajach cywilizowanych 80 procent jej wartości. Tak zwany właściciel ziemski, wielki czy mały, jest dziś w gruncie rzeczy administratorem danego kawałka ziemi z ramienia kapitału. Kooperatywa także może rozporządzać ogromną ilością gotówki, nietylko własnej, pochodzącej z przelania na kapitał rezerwowy części czystego zysku, lecz i cudzej, pożyczonej, gdyż przedsiębiorstwa kooperatywne, organizowane z daleko mniejszym ryzykiem, niż przedsiębiorstwa kapitalistyczne (wobec zgóry zapewnionego rynku zbytu) stanowią idealnie pewną lokatę gotówki. Otóż inkorporacja kooperatyw wytwórczych często rozpoczyna się od tego, że kooperatywa spożywcza płaci długi pierwszej i wzamian stawia swoje warunki. Absolutnie to samo jest możliwe z własnością rolną. Kooperatywa może skupować długi prywatnych wierzycieli własności ziemskiej, może nawet zniżyć procent, lecz wzamian za to może po zgóry określonej cenie nabyć produkcję danej własności rolnej, może tę produkcję wyznaczać, może nawet wziąść ster administracji w swoje ręce.

Z chwilą zaś, gdy kooperatywa będzie miała dostateczną ilość ziemi własnej i inkorporowanej, aby choć z biedą obywać się bez produkcji prywatnej własności rolnej ta ostatnia będzie musiała zdawać się na łaskę i niełaskę kooperatywy.

Jesteśmy jeszcze dalecy od podobnych walk pomiędzy rolnictwem prywatnym, a kooperatywnym. Lecz na polu handlowo-przemysłowym podobne wojny — o zamiarach majestatycznych — już się odbywają i kooperatywa wychodzi z nich zwycięsko. Niedawno król nafciany, Rockfeller, który skoncentrował w swoich rękach prawie cały przemysł i prawie cały handel naftą, nie chciał sprzedać nafty duńskiej hurtowni kooperatywnej, gdyż prywatni duńscy hurtownicy ofiarowali mu lepszą cenę. Hurtownia duńska postanowiła walczyć! Zaopatrzyła swoje sklepy w gorszą naftę kaukaską, wziętą z kopalni Rotszylda, nadesłała im również znaczną ilość zwykłych świec. Uświadomieni spożywcy — kooperatyści duńscy, przyzwyczajeni do kupowania wszystkiego w swoich sklepach, brali świece i gorszą od amerykańskiej naftę kaukaską. Nikt nie poszedł do prywatnego sklepu po naftę amerykańską. I po trzech miesiącach Rockfeller, jedyny prawie akcjonarjusz Standard Company, człowiek, który dla swojej fantazji, wywołał ostatni krach w Ameryce — ten miljarder — trustowiec — musiał skapitulować przed hurtownią związku kooperatyw duńskich i sprzedać jej naftę po cenie przez nią ofiarowanej. Za duńską hurtownią kooperatywną stała mocno trzecia część ludności tego kraju i przed tą potęgą zrzeszonego spożycia musiał ustąpić najbogatszy bodaj na świecie człowiek.

I czy sądzicie, że Rockfellerowi w jego walce z rządem Stanów Zjednoczonych o uznanie trustu, albo w jego walce z hurtownią duńską o wyższą cenę chodziło o pieniądze? Nigdy w świecie. Człowiek, który niedawno ofiarował *miljard* dolarów rządowi Stanów na cele użyteczności publicznej, a swojemu synowi płaci sto dolarów pensji miesięcznej za dość uciążliwe zajęcie — nie mógł tak walczyć o zyski. Jemu chodziło o stwierdzenie, że ta zasada wielko-kapitalistyczna produkcji, w myśl której on działa, jest doskonalszą od innych zasad ekonomicznych. Dzięki trustowi — poprzeprowadzano rury wprost z kopalni do portów, gdzie nafta wpada do specjalnie przygotowanych okrętów, oszczędzono tysiącznych zbytecznych manipulacji, zniżono cenę nafty, podnosząc zysk z przedsiębiorstwa — słowem trust, w stosunku do niższych formacji kapitalistycznych, jest postępem i Rockfeller miał wszelką słuszność, gdy chciał wypróbować działanie tej cudownie przez niego skonstruowanej organizacji ekonomicznej z organizacją kooperatywną. No i pokazało się, że organizacja

kooperatywna jest jeszcze doskonalsza, jeszcze cudowniej skonstruowana. Dla człowieka pragnącego widzieć doskonalącą się wciąż ludzkość, bardziej od demokratyzmu kooperatywy, bardziej od tego, że ona znosi dochody bez pracy i przywileje ekonomiczne — bardziej jeszcze radosnym jest to, iż stanowi ona doskonalszy od kapitalistycznego system gospodarczy, który lepiej wykonywa społecznie niezbędne funkcje podziału i wytwarzania bogactw.

Niezależnie od tych daleko idących, a przecież całkiem uprawnionych nadziei, jakie przywiązujemy do kooperatywy, ma ona ekonomicznie jeszcze dwojakie znaczenie — zupełnie doraźne. Kooperatystom daje towar tak samo drogi, jak w sklepach prywatnych, ale pewnej dobroci i uczciwej miary; następnie w końcu roku daje im zwrot od zakupów, gdyż na ten cel zawsze jakaś część czystego zysku zostaje zużyta, czyli daje oszczędność „spadłą z nieba", mierząc rzeczy dzisiejszym ich stanem. Oprócz tego kooperatywa — przez samo swoje istnienie — przynosi ogromną korzyść ogółowi mieszkańców danej miejscowości, a to w następujący sposób. Chociaż kooperatywa sprzedaje po zwykłych cenach handlu detalicznego, jednak — w wypadku gdy jakiś artykuł skutkiem jakiejś spekulacji sztucznie idzie w górę — kooperatywa może nie iść za tą tendencją zwyżkową i przez to ją uniemożliwić, zwracając ku sobie klijentelę. Podobnie sprzedaż uczciwa — niesfałszowanego towaru, należycie odmierzonego — zmusza do naśladownictwa prywatny handel, pod grozą utraty klijenteli. Widzimy zatym jak kolosalnie ważnym czynnikiem jest tu t. zw. *wychowanie spożywcy*, od którego się nie żąda, aby się znał na wszystkim, lecz od którego tyle żądać wolno, aby nie szedł do takiego sklepu, gdzie go oszukują. Jeżeli ten warunek wychowania jest spełniony, *kooperatywa działa, jak regulator cen handlu prywatnego*; broni przed wyzyskiem nawet tych spożywców, którzy o żadnej organizacji nie pomyśleli. Można przytoczyć dziesiątki tysięcy przykładów ze wszystkich krajów, stwierdzających ten pewnik.

Struktura kooperatywy jest ściśle demokratyczna. Mamy tu przeniesione zwyczaje demokracji politycznej na teren ekonomiczny. Najwyższą władzą lokalnego stowarzyszenia jest ogólne zebranie wszystkich członków (demokracja bezpośrednia), niekiedy w bardzo wielkich stowarzyszeniach ogólne zebranie delegatów (parlamentaryzm). Przed ogólnym zebraniem jest odpowiedzialny zarząd i przez nie wybieralny. Zarząd jest władzą wykonawczą, rodzajem ministerjum, od którego są bezpośrednio zależni pracownicy kooperatywy, niby biurokracja. Najwyższą władzą krajowego związku kooperatywnego jest ogólne zebranie delegatów od wszystkich związkowych stowarzyszeń: jest to krajowy parlament kooperatywny. Przed tym parlamentem jest odpowiedzialny i przezeń wybieralny zarząd związku, niby ministerjum krajowe, z jego dwoma wydziałami handlowo-gospodarczym (hurtownia) i umysłowo-teoretycznym. W Angli i Niemczech odległość tych dwóch wydziałów od siebie jest większa i właściwie cała organizacja kooperatywna dzieli się od dołu do góry na dwie niezależne pod-organizacje: gospodarczą i teoretyczną. Wówczas obie oparte są na tych samych zasadach demokratycznych.

W międzynarodowej organizacji — kongresy międzynarodowe Aljansu — to zarodek wszechświatowego parlamentu kooperatywnego. Komitet Centralny — to rodzaj ministerjum oświaty z jego wydziałami ściśle wykonawczymi: stałym biurem londynskim i zurychskim sekretarjatem kontynentalnym. Komitet Międzynarodowy Hurtowni kooperatywnych zaś — to rodzaj ministerjum gospodarczego. Obydwa te komitety są odpowiedzialne przed kongresem międzynarodowym, aczkolwiek członkowie ich są wybieralni przez krajowe organizacje. Szczegóły ustaw, systemy głosowania, wzajemne stosunki tych różnych kół — rozpatrywaliśmy w historji kooperatywy poszczególnych krajów i międzynarodowego aljansu. Jak widzimy więc wszystkie organy powszechnej republiki federatywnej spożywców są już zupełnie jasno zarysowane, zarówno pod względem funkcjonowania, jak i skruktury. Struktura ich jest ściśle wzorowana na politycznym republikanizmie federatywnym. Gradacja stowarzyszeń lokalnych, związków prowincjonalnych, narodowych i międzynarodowych z ich organami wykonawczymi jest ta sama, co i w postulatach demokracji politycznej.

Republika spożywców zajmuje naczelne stanowisko w tworzącym się przyszłym ustroju gospodarczym: ona jest powołana do wyznaczania pracy i regulowania produkcji zgodnie z zapotrzebowaniem, usystematyzowanym przez organizację osobistego spożycia. Republika wytwórców: związek zawodowy — jest jej organem wykonawczym, w szerokim tego słowa znaczeniu.

Jerzy Kurnatowski.

Listy z Krakowa.

VIII.

(Śmierć kardynała Puzyny).

Wawelski Zygmunt, a za nim wszystkie dzwony w mieście oznajmiły w d. 8 b. m. o zgonie kardynała Puzyny. Ludność na ogół przyjęła ten fakt z uczuciem ulgi. Dzienniki oprócz *Czasu* nie wyszły nawet w żałobnych obwódkach, a słowa krytyki powstrzymywane zwykle w obliczu świeżej, otwartej jeszcze mogiły, sypią się na nią zamiast mów i wieńców, których sobie kardynał nie życzył.

Nastrój taki świadczy, że wpływ Rzymu w społeczeństwie naszym słabnie, a duch narodowy się wzmaga. Zmarły kardynał był typowym i wybitnym przedstawicielem owego katolicyzmu wojującego, który w klerykalizacji społeczeństwa upatrywał cel kościoła i obowiązek najwyższego jego dostojnika w kraju. Dla dążeń i tęsknot narodu nie miał zrozumienia, ani nawet pobłażliwości, współczesnym prądom społecznym żadnego nie chciał zrobić ustępstwa, przeciwnie za zadanie swoje bezpośrednie uważał wytoczenie im zaciętej walki. Przypomnę tu tylko znaną sprawę sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel. Społeczeństwo ustąpiło ks. Puzynie, który dawszy inicjatywę w odnowieniu katedry wawelskiej, uważał się za uprawnionego do dysponowania w niej despotycznie. A przecież w sprawie tej decydować miała prawo cała rada kościelna, a rozstrzygnąć ją cesarz, ponieważ tylko cesarz rozporządza grobami w podziemiach Wawelu.

Nawet więc formalne paragrafy, nietylko prawo moralne życzeń całego skołeczeństwa przemawiało za pominięciem woli kardynała, pomimo to Słowacki został na obcej ziemi, a Puzyna spocznie na Wawelu.

Podobno wolał kardynał oburzyć na siebie całą Polskę, niż zmienić dynastyczny charakter Wawelu, czyniąc z niego polski Westminster, gdzieby spoczywały zwłoki pierwszych w narodzie.

Nowoczesnym prądom społecznym poprzysiągł Puzyna od pierwszej chwili swego urzędowania na tronie biskupim walkę zaciętą. W pierwszej swej kurendzie biskupiej wydanej w 1895 r. nakazuje duchowieństwu zwalczać „nowe prądy myśli" i ruch robotniczy, i programowi temu zwalczania ducha czasu wszystkimi dostępnymi sobie środkami pozostał wiernym, aż do śmierci. Otoczył przeto specjalną bacznością szkołę, gdzie katecheci od najniższych klas wypełniają godziny lekcji napaściami na socjalizm.

Wyklęte zostały wszystkie pisma robotnicze, socjalistyczne, oraz stronnictwa ludowego. Odmawiano rozgrzeszenia przy spowiedzi czytelnikom *Naprzodu* i *Przyjaciela Ludu*, szykanowano prasę i gnębiono ruch robotniczy i chłopski, bo jak powiada *Naprzód* „ks. biskup Puzyna posługiwać się umiał także ramieniem świeckiej władzy".

Ażeby podjąć walkę ze społeczeństwem trzeba było wychować duchowieństwo. Puzyna specjalną poświęca temu uwagę: reorganizuje seminarja w Przemyślu, Lwowie i Krakowie, wizytuje je, wchodzi w ciągły kontakt z klerem, od którego wymaga bezwględnego posłuszeństwa i ścisłego stosowania się do życzeń i widoków Rzymu, których był rzecznikiem Dotąd wspominają wystosowaną do sędziwego księdza Puszeta podczas wizytacji szkoły pogardliwą apostrofę „na kolana!", jako symbol stosunku kardynała do podwładnego sobie duchowieństwa. Charakterystycznym jest też drobny fakt z dziejów I gimnazjum żeńskiego w Krakowie. Założona i utrzymywana przez ludzi wolnomyślnych szkoła ta przez lat parę nie otrzymywała kotechety do prowadzenia nauki religji, o co dopominali się rodzice uczennic, ksiądz zaś, który nauki tej udzielał, czynił to potajemnie.

Cechą charakterystyczną dla nieboszczyka było jego przesadne pojęcie legalizmu, wobec wszelkiej władzy. Wyniósł je z krótkiego, bo tylko 7 letniego urzędowania w krajowej dyrekcji skarbu, gdzie był komisarzem podatkowym, zanim wstąpił do seminarjum duchownego. Gdy w fanatycznym mózgu kardynała do rutyny urzędniczej przyłączyło się przekonanie, że wszelka władza pochodzi od Boga, stał się służbistym wykonawcą woli cesarza Tam gdzie chodziło o samodzielność kościoła przy wyborze papieża, podczas ostatniego conclave głosował jak wiadomo przeciw kardynałowi Rampolli, na życzenie rządu austryjackiego, przyczyniając się tym sposobem do wyboru obecnego papieża, którego panowania katolicyzm nie zaliczy z pewnością do świetnych kart swej historji.

Poczucie zależności moralnej od Rzymu i rządu austryjackiego złożyły się tedy na wytworzenie poglądów Puzyny na sprawy narodowe. Ten najwyższy dostojnik kościoła czuł się przedewszystkim powołanym do przystrzygania zbyt wybujałych, zdaniem jego, dążeń społeczeństwa, wszedł w otwartą wojnę ze znacznym jego odłamem, a despotycznie rządził djecezją i duszami wiernych. Bałuckiemu odmówił pogrzebu kościelnego, jako „liberalnemu" pisarzowi i samobójcy. Gdy Korfanty organizować zaczął na Górnym Śląsku polskie stronnictwo narodowe przeciw niemieckiemu centrum klerykalnemu, odmówił mu ślubu kościelnego.

Charakter tak bezwzględny, nie cofający się nawet przed skandalem, nieznający obludy, wyraźnie odgraniczał kozłów od baranów i nic z pierwszymi nie chciał mieć wspólnego. Tylko, że grupa kozłów rosła, duch odrębności narodowej, niezależnej od religji wzmagał się nawet wśród mas, a czyny ks. Puzyny dopomagały w tym skutecznie.

Stanowisko dostojnika kościelnego, który tak wielki wpływ wywierał, jakkolwie był osobiście znienawidzony, podtrzymywały zalety jego jako człowieka prywatnego: nieposzlakowany charakter, wielkie miłosierdzie i bezinteresowność osobista, życie prawie ascetyczne i niezmordowana, nie dająca się nawet chorobie okiełznać pracowitość i wytrwałość w pełnieniu obowiązków zawodowych. Jako kapłan w parafji mógł by był świecić wzorem otoczeniu, jako naczelnik kościoła w Galicji i dygnitarz, który w obec Rzymu był rzecznikiem spraw narodowych, nie dorósł do tej misji jakkolwiek byśmy ją nawet w duchu konserwatywnym pojąć chcieli.

Następcą ks. biskupa Puzyny, jak mówią powszechnie zostać ma ~~Paweł~~ ks. Sapieha, prałat papieski, członek kongregacji „de propaganda fide". Czy zatym nie nowe wydanie bisk. Puzyny? Biskupa krakowskiego nie wybiera kapituła, tylko mianuje cesarz, a prekonizuje papież. Należy ono do t. zw. biskupstw „regiae collationis". Pomimo to życzenia stańczyków naszych trafić umieją i do Wiednia i do Rzymu.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

BADANIA NAUKOWE.

Henryk Poincaré.

(**Nauka i Hypoteza:** przekład M. Horwitza. **Wartość Nauki:** przekład Ludwika Silbersteina. **Nauka i Metoda:** przekład M. Horwitza. Nakładem Jakóba Mortkowicza).

Dzieła Henryka Poincaré'go wprowadzają nas w sam środek zagadnień filozoficznych naszego stulecia, w war najgorętszego ścierania się zasadniczych, znamiennych dla okresu obecnego, poglądów na świat i na stanowisko, zajmowane w nim przez człowieka.

Dwa podstawowe kierunki zmagają się dziś ze sobą na arenie filozofji, reprezentując dwie odmienne postawy ducha poznawczego wobec przedmiotu poznania.

Z jednej strony gmach syntezy filozoficznej wznoszą na podkładzie nauk pozytywnych przedstawiciele ścisłych w badaniu metod, poczytujący metody te za czyniące najzupełniej zadość wymogom i warunkom poznawania prawdy. Nie łudzą się oni bynajmniej, aby z pomocą metod swych zdobyć mogli *całą* prawdę. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, że zaledwie drobne i rozproszone ułamki prawdy znajdują się w ich posiadaniu. Atoli nie mogą oprzeć się wymowie tego faktu, iż wszystko to, co uchodzi za rzeczy pewne, wszystko, co zdolne bywa zadowolić nasz umysł, osiągnięte zostało dzięki metodzie naukowej, i tylko dzięki niej. Nauka i tylko nauka wiedzie człowieka do poznania.

Twierdzeniom powyższym przeciwstawia się kierunek inny, którego metoda naukowa bynajmniej nie zadowala. Duch ludzki, powiada on, zwłaszcza zaś serce ludzkie odczuwa rozmaite potrzeby, których nauka zaspokoić nie potrafi. Kierunek ów, z kolei, na dwa dzieli się prądy.

Prąd pierwszy, — którego doniosłość i powaga z dniem każdym taje, jest tylko przeżytkiem przeszłości. Przedstawiciele jego — to umysły bądź nazbyt rozmiłowane w bezwzględności i prostocie, bądź nadto pyszne, niekiedy poprostu zamało posiadające wiedzy, aby znaleźć zadowolenie w pracach i zdobyczach pozytywnych. Nie mogą oni pogodzić się z tym, aby to, co nie zostało poznane, było tajemnicą, — i nie chcą z pokorą tego wyznać Wskutek tego, lekceważą oni dość wyraźnie naukę, która posuwać się musi tak powoli i z takim mozołem, po przez setne załomy, nawroty i zboczenia, ku dalekim szczytom prawdy. Prawdę ową pragną oni posiąść odrazu i w całości. Znajdują zaś, że metody naukowe nie dają nam nic całkowitego, nic dostatecznie skończonego.

Szukają tedy gdzieindziej podstaw dogmatycznych dla całkowitego, bezwzględnego systemu prawdy i moralności. Późni spadkobiercy dawnej metafizyki idealistycznej, dalecy krewni Leibnitza i Kartezjusza, Kanta, Fichtego i Hegla, nie nauczyli się nic w nowszych czasach. Pozostali metafizykami, szukaczami absolutu. I ponieważ starych wielkich budowli metafizycznych podnieść z ruin nie można, ponieważ „abso-

Stefan

lutystom" dzisiejszym częstokroć brak tej gruntownej i wszechstronnej wiedzy, jaką rozporządzali zawsze wielcy metafizycy, przeto, z nielicznymi wyjątkami, spadli oni do poziomu epigonów, ratujących się mglistym eklektyzmem, wysnutym z dawnych postrzępionych systemów. Ten ruch metafizyczny i na dążeniu do ujęcia absolutu oparty, ma dziś wszelkie znamiona istoty pogrobowej. Występując w nowych formach scholastyki, nie posiada wpływu ani wyznawców, poza filozofją szkolną.

Prąd wtóry, natomiast, nie lekceważy i nie pomija nauki, jak czynią to naogół metafizycy, poszukiwacze prawdy absolutnej. Owszem, otacza ją wielkim szacunkiem, przypisuje wielką jej doniosłość, a przedewszystkim, co najważniejsza, zna ją bardzo dobrze. Jednoczy on też, w istocie, wszystkich, którzy w sposób żywy, oryginalny i twórczy grupują się w obóz odrębny, naprzeciw obozu wyłącznych zwolenników dyscypliny naukowej, czystych i prawdziwych pozytywistów, których tu, rzecz prosta, pojmujemy nie jako uczniów Comte'a, lecz właśnie jako naukowców, zamkniętych w obrębie metod ścisłych. Krytykując zasadniczo intelektualizm oraz racjonalizm tych ostatnich, starają się rzecznicy tegoż prądu naukę wyzyskać dla celów, nie mających z nią nic wspólnego, a czasem wprost zwracających się przeciwko niej. W człowieku dostrzegają oni poza rozumem, poza intelektem, nierównie bogatsze zasoby duchowe w postaci uczuć, instynktów, popędów, potrzeb, aspiracji niepodobnych do wyrażenia w języku pojęć, niemożliwych do sprowadzenia do form rozumowych, słowem — niepojmowalnych. Nauka, będąca wytworem rozumu, służy jedynie do utwierdzenia skutecznej władzy, wywieranej przez nas na przyrodzenie. Wskazuje nam ona jedynie, w jaki sposób korzystać mamy z rzeczy, które nas otaczają; nie odkrywa, natomiast, nic z ich istoty. Wyjawienia tego, czym jesteśmy, czym jest cała przyroda, skądeśmy się poczęli i dokąd zmierzamy, szukać powinniśmy w pozarozumowej głębi naszego jestestwa, niekiedy nawet w dziedzinie podświadomej. Tęsknoty i pragnienia serca tudzież instynkty nasze zdolne są o istocie rzeczy powiedzieć nam więcej, niż wyroki rozumu.

Nauka nie jest rzeczą do wzgardzenia, ale wiedza, jaką niesie, ma charakter uboczny; znaczenie — wtórne. Prawdziwą wiedzę czerpać możemy tylko z przeżyć moralnych, z intuicji uczuciowych, z wierzeń religijnych. Wiedza zaś naukowa daje tylko środki do zadośćuczynienia potrzebom materjalnym: duchowych potrzeb nie zaspokaja wcale. Prąd ówy wyraził się, jak wogóle wszelkie prądy o bujnej żywotności, w rozmaitych, bardzo licznych formach, niekiedy prawie sprzecznych między sobą. Za formę syntetyczną tego ruchu uznaje się powszechnie pragmatyzm, którego jednym z koryfeuszy był, zmarły w roku zeszłym, psycholog i filozof amerykański, William James.

Otóż przeciwieństwo między stanowiskiem pragmatyzmu a obozem pozytywistów, czyli intelektualistów, przekonanych o wartości poznawczej metod naukowych, daje właśnie pole do walk o zasadnicze podstawy poglądu na świat. Ono to stwarza fundamentalną antynomję współczesnej myśli filozoficznej, wysuwając zagadnienie stosunku wzajemnego dwu żywiołowych funkcji ducha ludzkiego: t e o r j i i p r a k t y k i, czyli nauki i działalności praktycznej. Zagadnienie to przybiera postać następującej alternatywy: 1) albo działalność praktyczna opiera się na nauce i stanowi jej konsekwencję, albo też, przeciwnie 2) wiedza naukowa opiera się na działalności praktycznej i z niej wynika

W pierwszym wypadku, działalność praktyczną obejmuje i pochłania nauka; w drugim naukę obejmuje i pochłania działalność praktyczna. Chodzi o utrzymanie związku logicznego między obu tymi wyrazami; przeistaczać zaś można go jedynie przez odwracanie dwu rzeczonych wyrazów, czyniąc pierwszy zależnym od drugiego, lub drugi od pierwszego. W pierwszym wypadku, staniemy wobec systemów racjonalistycznych, intelektualistycznych i pozytywistycznych: wobec dogmatyzmu nauki. W drugim wypadku otrzymamy systemy pragmatystyczne, systemy oparte na uczuciu wiary, albo na intuicji czynnej (np. system Bergsona): dogmatyzm działania. Wedle przekonania pierwszych, wiedza prowadzi do działania: poznanie rodzi czyn. Zdaniem zaś drugich, wiedzę poprzedza konieczność działania; poznanie bywa następstwem czynu.

Wielki ten spór wstrząsa dziś posadami wszystkich nauk: w chemji i w fizyce występuje jako kryzys teorji atomistycznej, wywołany wyłonieniem się energietyzmu; w biologji objawia się w postaci walki zasad mechanistycznych z zasadą celowości ustrojów żywych; w psychologji wyraża się w nagromadzeniu wątpliwości co do skutecznego znaczenia, w badaniu spraw duchowych, metod eksperymentalnych, w których do niedawna pokładano zaufanie prawie wyłączne. Ogarniając, dziedzina za dziedziną, cały obszar ludzkiego poznania, odbił się on wreszcie, głębokim przełomem, i na tym dziale wiedzy ludzkiej, który uchodzi powszechnie za najlepiej uzasadniony, najstarszy, iszczący w sobie najwyższy stopień pewności, dostępnej dla umysłu naszego, — mianowicie na Matematyce.

Twierdzenia i prawa matematyczne wydają nam się wzorem prawdy naukowej; uważamy je za najczystszą emanację rozumu ludzkiego, nieskażoną piętnem względności, jakie zawsze nosi na sobie wszelkie poznanie, z doświadczeń i postrzeżeń zewnętrznych zaczerpnięte. Przypisano im też wartość uniwersalną, niezależną od zmiennych, ograniczonych form naszego bytu ziemskiego, — wartość wieczną i bezwzględną.

Na tle tego przeświadczenia zarysował się właśnie rozłam, będący jedną z zasadniczych odmian rozłamu współczesnej myśli filozoficznej.

Chodzi o roztrzygnięcie, czy matematyka zbogaca wiedzę naszą czymś, czegobyśmy bez niej nigdy nie znali, czego brak sprawiałby zawód władzom poznawczym naszego umysłu, i w rezultacieby nas pomniejszał, przez zubożenie naszej potęgi duchowej? — Czyli też, przeciwnie jest ona tylko sztuką techniczną, pewnego rodzaju narządziem przydatnym do celów praktycznych, narzędziem dogodnym w pewnych określonych warunkach?

W przeciwstawności tych dwu pozycji, w gruncie, odnajdujemy tylko konsekwencję poszczególną owego wielkiego zagadnienia, które na początku wskazaliśmy, jako zagadnienie ogniskowe filozofji nowoczesnej: czy praktyka jest następstwem wtórnym i pochodnym wiedzy? czy też wiedza nasza jest tylko pomocniczym przyrządem praktyki, przyrządem, który, na dobrą sprawę, praktyka nasza mogłaby zastąpić, z równym skutkiem, przez inne pyzyrządy. Słowem, na gruncie matematyki, podobnie, jak na gruncie innych nauk, zasadnicze zagadnienie jawi się nam w postaci elementarnego pytania: czy wiedza logicznie poprzedza praktykę, czy praktyka — wiedzę?

Na poparcie tego ostatniego mniemania, dowodowodów, trzeba przyznać, nie braknie. Matematyka oddaje usługi poniekąd wszędzie i służy, poniekąd do wszystkiego: gra przeto rzeczywiście rolę przyrządu, bez wątpienia, przyrządu bardzo zręcznego, doskonale pomyślanego, niemniej jednak—przyrządu w całym słowa tego znaczeniu. — Z drugiej strony, uzasadnionym wydaje się powątpiewanie, czy wogóle matematyka może nam cokolwiek powiedzieć o świecie, zważywszy, iż w żadnej nie zostaje styczności z przedmiotami rzeczywistymi. Zali, sięgajac do jej historji, nie widzimy, iż powstała i rozwinęła się z potrzeb ku-

pieckich i ekonomicznych, a więc na podkładzie praktyki życiowej? Gieometra był pierwiastkowo mierniklem ziemi i, w narzeczu pospolitym, dotąd nim pozostał. Symbolizm działań matematycznych, sam przez się, nastręczać się zdaje mniemanie, iż matematyka jest tylko sztuką stosowaną. Nie poprzestaje ona, zresztą, na dostarczaniu nam formuł, którymi działalność nasza wobec przedmiotów rzeczywistych posiłkować by się mogła. Będąc sztuką twórczą i budowniczą w wysokim stopniu, jak wszelka sztuka, daje byt krnstrukcjom całkowicie obcym rzeczywistości. Ma ona przed sobą nieograniczone pole kombinacji możliwych i niemożliwych. Podobnie jak przemyślna, a zarazem przemysłowa sztuka chemika wytwarza ciała nieznane przyrodzie, tak samo umiejętność matematyka wytwarza stosunki tudzież połączenia stosunków, których przyroda urzeczywistnić nie potrafi.

Sztuka niezaprzeczenie podziwu godna, przez swój szyk i ład logiczny, niemniej jednak — sztuka od podstaw aż do najbardziej drobiazgowych zagadnień, — oto jest matematyka. Nie daje nam ona żadnej wiedzy o rzeczywistości, uczy nas jedynie tylko tego, jak wobec tej rzeczywistości mamy się zachowywać; posługujemy się nią w tym celu, aby oddziaływać na materję; w tym celu stworzona została przez rozum, liczący się jedynie z potrzebami praktyki, ale niezdolny do poznania ani cząsteczki z tego, co istnieje.

Na biegunie przeciwległym stają racjonaliści. Ci, wbrew pragmatystom, utrzymują, że prawa i zasady matematyki, dotyczące liczby i przestrzeni, są dalszym ciągiem i rozwinięciem czystej logiki. Nietylko arytmetyka i geometrja, ale i mechanika, i wszystko wogóle to, co da się wyrazić matematycznie, a więc także fizyka i poczęści chemja, w przekonaniu racjonalistów, stają się niejako uzewnętrznieninm bezwzględnych, niezłomnych i powszechnych praw logiki, które znów wyrażają niezłomne prawa rozumu. Usiłowania logików nowoczesnych, zmierzające ku zastosowaniu rozumowań logicznych do mechaniki, dowodzą, iż niema różnic zasadniczych między naturą praw fizyko-chemicznych a naturą praw logiki, czyli praw rozumu. Jedność charakterystyki powszechnej świadczy niezawodnie o jednym wspólnym, głębokim charakterze powszechnym, ukrytym w zjawiskach, wyjawia wspólną ich naturę. Rozum, określający człowieka, określa zarazem wszechświat cały, mający naturę współistotną z naturą człowieka.

Pojmujemy teraz całą doniosłość zagadnienia, jakie między pragmatystami a racjonalistami powoduje spór na gruncie matematyki: w istocie, zagadnienie to ma wagę uniwersalną, ponieważ zasadniczo jest ono zagadnieniem rozumu, ujmowanego w pracy poznania. Nauki matematyczne, z pośród wszystkich innych nauk, najdokładniej obnażają samą istotę rozumu, uchodząc za najdoskonalszy jego wyraz. Stawią tedy zagadnienie rozumu z oczywistością niemal bezpośrednią.

To nam zarazem tłómaczy doniosłość, jaką miało wstąpienie w szranki sporu matematyka i uczonego tej miary, co Henryk Poincaré. Rozległością wiedzy, głębią myśli i blaskiem genjuszu odpowiada on godnie szczytnym wysiłkom tej wspaniałej falangi umysłów, które, ze swej strony, uczestnicząc w zagadnieniu, zdążyły się już zapisać nieśmiertelnymi głoskami na kartach historji poznania ludzkiego: Mach i Russell, Bergson i Boutroux, Couturat, Ostwald, James, Croce.

Śmiało rzec można, iż zagadnienie znamiona wielkości swej zawdzięcza potędze duchowej ludzi, którzy je podjęli, aczkolwiek i to jest prawdą, że wszechświatowa rozciągłość zagadnienia obleka w przeporcje kolosalne wysiłki umysłowe tych, którzy otchłań jego zgłębić usiłują.

(c. d. n.). *W. Rzymowski.*

KRYTYKA.

Kościół i religja w pojęciu Słowackiego.

II.

Wielu bardzo chrześcian wierzących krytykuje kler i wogóle całą organizację kościoła katolickiego, pomimo to stoją oni twardo na gruncie dogmatów. Wykazawszy więc krytyczny stosunek Słowackiego do kościoła, należy się zastanowić nad jego religją, aby sobie jasno sformułować zdanie, w jakim stopniu był on katolikiem, lub szerzej biorąc, chrześcijaninem *z ducha*.

Najdobitniej i razem najogólniej wypowiedział Słowacki swoje „credo" religijne przy końcu V pieśni Beniowskiego. Mówię o wspaniałych oktawach panteistycznych, zaczynających się od słów: „Boże, kto Ciebie nie czuł w Ukrainy błękitnych polach"...

Z punktu widzenia dogmatyki chrześcijańskiej należy się zastanowić po pierwsze, czy poza polem, stepem, gwiazdami, stokrociami i niezapominkami, poza uczuciami człowieka wreszcie, jest w pojęciu Słowackiego bóg osobowy, czyli go niema. Strofy z Beniowskiego zdawałyby się przemawiać za bezwzględnym panteizmzm, a więc herezją z punktu widzenia kościołów chrześcijańskich, ale poza tym jest jeszcze olbrzymi materjał w dziełach mistycznych Słowackiego i należy się nad nim zastanowić.

Beniowskiego bierzemy pod uwagę dlatego, że napisał go poeta jeszcze przed owym punktem zwrotnym, którym był dla niego towianizm, napisał w chwili, którą możnaby porównać z momentem tworzenia „Improwizacji" przez Mickiewicza. Tylko że Mickiewicz żałuje swej „pychy" w całej następnej scenie z księdzem Piotrem, a nawet w całym przeprowadzeniu akcji III części Dziadów, a Słowacki nigdzie nie cofa tego, co powiedział, nie uważa, iżby się przeliczył ze słowami nawet w późniejszym okresie życia, gdy stanowisko jego do Mickiewicza, emigracji, do ludzi wogóle kardynalnej uległo zmianie, gdy pozornie jest on bardzo pokorny.

W omawianych strofach Beniowskiego chcę zwrócić uwagę na stosunek Boga do samopoczucia człowieka.

„Widzę, że nie jest on tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza.
Próżna, stracona przed kościoła progiem"

pisze Słowacki w najwyższym podniesieniu ducha i od tej myśli zaczyna się pojedynek z Mickiewiczem: „Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem pokory?"

Przebieżmy myślą dzieła katolickie i wogóle chrześcijańskie od ewangielji, poprzez średniowiecze, reformatorów, aż do pisarzów XIX w. — gdzie takie tony znajdziemy? Judaizm już przekazał chrześcijaństwu lęk i uczucie małości wobec bezmiaru Jehowy, przekazał mu znamienną historję Joba, robaka wijącego się w prochu ziemi.

Powtarzamy: strofy Beniowskiego napisane były w chwili, gdy duma Słowackiego sięgała zenitu, ale dumny jego stosunek względem Boga nie tu właśnie najsilniej się wypowiada. O wiele znamienniejsze pod tym względem są utwory mistyczne poety z tych czasów, gdy pisał on do matki, że nic go nie obchodzą sądy ludzkie; „z tej strony prawie człowiekiem nie jestem", że gotów każdego, co się przybliży „oblać jasnością ducha i rozradować".

Ta duchowa metamorfoza człowieka, który jest

w pierwszej swej bujnej młodości niesłychanie wrażliwy na sąd ludzki, na głosy krytyki, był wynikiem przejęcia się żywą wiarą, „wiarą wiedzącą”, która urobiła się w nim pod wpływem Towiańskiego. Jak wiadomo, „mistrz” nie na długo bezwzględnie zapanował nad duchem Słowackiego. Już w 1843 roku poeta porzuca koło, a wkrótce protestuje przeciw zwróceniu się do cesarza Mikołaja I z wezwaniem do przyjęcia prawdy. Ale zgodnie ze swą naturą unosi te ziarna nauki, które na glebie jego ducha wzejść i plon wydać mogły.

Teraz konsoliduje się w nim wspaniały mistyczny obraz świata, przepyszna fantazja, która ma ten sam nieprzeparty urok poezji, co cała jego twórczość. Dla niego jednak nie była to fantazja, lecz wiara głęboka, poczęta we własnym sercu, oparta na czuciu i własnym porywem ducha zbudowana. „Uczucie moje daje tej prawdzie świadectwo”, mówi Heljon w „Wykładzie Nauki”. Na zasadzie takich świadectw Słowacki swą wiarę nazywa „wiedzącą”.

„Któż za skłamaną między ludźmi sławę
Odda prawdziwą moc ruszania światem
Przez bożą siłę i przez bożą sprawę?

pyta Słowacki w II rapsodzie Króla Ducha — i oto mamy klucz, rozwiązujący zagadkę tej obojętności na sądy ludzkie, która nas tak uderza w końcowym okresie życia poety.

Ale czy to jest przejście od pychy do pokory chrześcijańskiej? Wszak jest to przypisanie świadomemu duchowi ludzkiemu władzy, która według nauki chrześcijańskiej jedynie w rękach bożych spoczywa. Pod skrzydła opatrzności biernie i pokornie chroni się prawy syn kościoła, ufny w miłosierdzie tego, który każdej chwili zmiażdżyć go może, a Słowacki pisze:

„Jakże my nędzni, Boże mój... i jakaż być powinna pokora nasza... że synostwem ducha Twojego i *siłą twórczą obdarzeni* — a jeszcze nie przemieniliśmy niebios — i świata”. (Notatki i Zapiski w Raptularzu.)

Mowa tu o pokorze, ale o tej tylko, która dzieli ducha twórczego od dalekiego, lecz zupełnie ziszczalnego ideału. Co innego pokora chrześcijańska t. j. wiara, że wszelkie wysiłki ludzkie są domkiem z kart, który Bóg jednym swym tchnieniem zburzyć może i zburzy zawsze, jeśli tylko człowiek zbytnio siłom swym zaufa.

Przyjrzyjmy się teraz fantazji Słowackiego o stawaniu się wszechświata i oceńmy rolę ducha człowieczego w dziele stworzenia:

„Na skałach oceanowych postawiłeś mię, Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych. którzy ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach”.

„Albowiem duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie”.

Oto początek natchnionej baśni o dziejach świata: „Genezis z ducha”.

Pawlikowski, zagłębiając się w pradawnych mistycznych pojęciach istoty bóstwa, którego myśl ludzka tknąć i uosobić się lęka i odsuwa w dal taką, że musi poza nim znaleźć jakiś punkt oparcia, zrozumiały dla siebie, przypomina „Słowo”, które się między innymi spotyka u Philona Aleksandryjczyka. (Według jego rozumienia „ponieważ „Słowo” mieści w sobie myśl i nakaz, przeto i „logos” składa się z dwóch części: u boku tego, „który jest stoi z jednej strony Stwórca, a z drugiej Rządca świata”). W tej koncepji umysłowej „Słowo” jest owym punktem oparcia dla myśli, a „ten, który jest” odsuwa się w dal niepoznawalną.

Że Słowacki musiał rozumować podobnie, tego dowodzi takie np. wyrażenie w *Dzienniku* 1847 r.:

„Boga w Trójcy mam wyobrażenie. Boga zaś w jedności żaden człowiek wyobrazić sobie nie może, a zatym nie wierzy weń — Bóg dla mnie w Trójcy — jest ten, który stworzył człowieka i ten, który żyje w człowieku — zrodzony i odradzający Ducha Świętego”.

I dalej: „Dotychczas mówiono o Bogu, iż jest najwyższą mądrością, dobrocią, sprawiedliwością, potęgą, łaskawością — a to abstrakta próżne były. Bóg jest Duch tworzyciel w duchu światów najwyższej mądrości, dobroci, sprawiedliwości, potęgi, łaskawości, Duch ten jeden jest”.

Cóż to znaczy? Oczywiście Duch tworzyciel jest zupełnie niepoznawalny, nadawanie mu jakichś cech jest „próżnym abstraktem”, wiara w niego jest złudzeniem, bo wierzyć można tylko w to, co daje się wyobrazić (bardzo charakterystyczne dla poetyckiej natury Słowackiego). Zrozumieć Boga można tylko w „duchu światów”, t. j. w jego tworach, w naturze, a przedewszystkim w jego synu, duchu ludzkim, od którego uzależniona jest cała natura.

Pod tym względem charakterystyczny jest następujący ustęp z II rapsodu Króla Ducha:

Natura cała w westchnieniach i głosach
Wołała: — Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mię całą, podniósłszy człowieka,
Daj mi przez oddech wyższy — oddychanie,
Daj krok, na który czekam już od wieka.

Natura więc modli się do Boga i bez niego podniesienie człowieka jest niemożliwe, lecz i wola Boga tu nie wystarcza. W Królu Duchu spotykamy się z myślą, że duchy, biorąc na siebie kształt cielesny, czynią „dobrowolne wybory”. To samo znajdujemy w Genezis z ducha.

„A my Duchy słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, *iżeśmy sami z siebie, z woli naszej i z miłości naszej* wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni”.

Oto, jak wygląda twórczość bóstwa niepoznawalnego. Czy to jest bóg osobowy? Osoba jest istotą, tu raczej mamy siłę twórczą, rodzącą moc twórczą w człowieku. Możnaby Boga Słowackiego porównać do promienia słońca, który zmusza ziarno do kiełkowania — ziarno to jednak samo w sobie musi mieć siłę rozrodczą. Zastrzeżmy zaraz, że to porównanie jest jednostronne, maluje tylko jedną stronę stosunku człowieka do Boga; niema tu jej łączności, którą Genezis tak określa: „Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie”.

W I wydaniu Genezis w 1872 r. znajdujemy przy tym zdaniu bardzo charakterystyczny dopisek: „Jam” nie „ja”, bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. Ew. o Bogu mówi: — W nim był żywot, a żywot był oną światłością ludzką — ale nie osobistościami ludzkimi. Bo ja jeżeli równocześnie z Bogiem było, to człowiek Boga rowiennikiem.”

Co za misterna różnica między „jam” i „ja”, Nie zna jej język i ona nie uratuje sytuacji. Człowiek według tekstu Genezis jest wprawdzie nie rówiennikiem Boga, bo to grube wyrażenie nie nadaje się zupełnie do pomysłów mistycznych, ale jego myślą twórczą. Kto chce, niech określa teraz niższość myśli twórczej wobec ducha, który ją poczyna.

Co musi uderzać w owym urywku z Genezis, to jego podobieństwo do tekstu ewangelji Św. Jana: „Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było ono Słowo”.

U św. Jana słowem jest Chrystus, syn boży, u Słowackiego duch człowieka, również syn boży.

Pawlikowski w „Mistyce” powiada, że stanowi-

sko Słowackiego wobec Chrystusa jest niejasne, mówi np. o „miljonie Chrystusów”, kiedyindziej zaś zbliża się zupełnie do chrześcjańskiego rozumienia „syna bożego”.

Nie ulega kwestji, że w fantazji gienezyjskiej Słowackiego niema miejsca na Chrystusa. Duch człowieka, syn boży, albo ściślej mówiąc duchy ludzkie, synowie boży, tworzą świat przechodząc przez różne kształty materjalne od najprostszych, bo od kamieni i wznosząc się jakby po drabinie jakóbowej przez „roślinopłazy”, gąbczaki, ślimaki i ostrygi, polipy, a dalej przez drzewa, lasy olbrzymie, dziś zwęglone, przez płazy i węże, przez ptaki i jaszczury z dziobem i skrzydłami ptasiemi, przez „z kości okręta, rozmiłowane w żywocie z oczyma roziskrzonymi na pokarm” — aż do człowieka. Wszystkich tych przemian, całej ewolucji dokonywają samodzielnie, podniecani tylko duchem bożym wtedy, gdy leniwieją w kształcie. Człowiek, daleki dziś jeszcze od doskonałości, dźwiga się wyżej aż do nadczłowieka. Zadanie jego poeta tak w „Liście apostolskim” określa: „Duchem świata podniesionym łamać prawa, materją rządzące i sprowadzić bożą słoneczność i Nową Jeruzalem, która jest obiecana”.

Środkiem wznoszenia się coraz wyższych kształtów jest ofiara z życia — śmierć. Już skały złożyły ją idei twórczej bóstwa, rozsypując się w proch, przez co duchy, wyzwolone z pierwotnych ciężkich form, mogły się wznieść do wyższych. Od tych czasów aż po dziś dzień trwa ciągle to samo, posuwamy się tylko coraz wyżej na drodze do światła. Oto myśl prosta, określona, jednostajnie ewolucyjna, różna bardzo od nauki biblijnej, która tworzy mit o człowieku doskonałym u wrót istnienia naszego na ziemi, o grzechu pierwotnym o jednej, wielkiej ofierze Chrystusa.

Władysława Weychert-Szymanowska.

NA DOBIE.

Biała toga pana Konica.

W Rzymie starożytnym mężowie, sposobiący się do piastowania godności publicznych, wdziewali na się białe szaty. Za ich dostojnym przykładem ubiera się dziś w kolor niewinności pan Henryk Konic, na znak swych aspiracji do krzesła poselskiego w Dumie. Wprawdzie wybory do przyszłej Izby odbędą się w następnym dopiero roku, ale pan Konic nie chce ojczyźnie swej żgać serca niepokojem i już ją dziś zapewnia, że do przyjęcia mandatu—jest całkiem gotów.

Przechadza się tedy w swej białej todze po małej *ad hoc* sporządzonej scence *Przełomu*, którą mężnie na swych barkach dźwigają panowie: Roset, Machalewski i Rappaport, i tymi słowy proklamuje swój do narodu manifest:

— Otom jest do Czwartej Izbicy kandydat Nr. 1. Podemną i za mną stoją masy: Biberstein, Machalewski, Roset, lub jeśli wolicie: Roset, Biberstein, Machalewski. Skoro uważacie, że to mało, powtórzcie ich miljon razy, a będziecie mieli trzy miljony ludzi. Za czwarty miljon stanę ja sam! A teraz wzrokiem badawczym spójrzcie dokoła mnie i powiedzcie, czy jest ktoś poza mną, ktoby istniał naprawdę? Oto leży Demokracja Narodowa w gruzach! Dostrzegacie na ulicy Boduena pomnik Romana Dmowskiego, ale sam Roman Dmowski — politycznie — już nie żyje. Kadry socjalizmu — rozbite. Powiadacie: Zjednoczenie Postępowe? Lecz cóż o Zjednoczeniu Postępowym mówić! Tam — zwalczają klerykalizm. To nie jest nasz polski, zdrowy, obywatelski postęp, któremu, mości panowie, oby sam Bóg z nieba błogosławił. Bah! tam otwarcie zwalczają z dziwną nietolerancją polski i żydowski obskurantyzm! Wiem to z doświadczenia, bom zmuszony był stamtąd się usunąć... A przytym Zjednoczenie Postępowe żyje wyłącznie negacją. Tam — ludzi z w i a r ą nie znajdziecie! Tam — słuchajcie, słuchajcie! — t a m u w i e r z y ć m i n i e c h c i a n o, ż e j e s t e m S ł o w i a n i n e m ! ! !

Pan Konic skończył, i powiódł okiem tryumfalnym dokoła, czekając na owację. Atoli dokoła wszędzie, w pobliżu i w dali, panowało milczenie. Jeden tylko *Kurjer Warszawski* głośno ziewnął dla uwydatnienia doniosłości manifestu i począć obliczać, który to już z rzędu dzień toczy się przed kratkami sprawa Ronikiera.

Przerywając to kłopotliwe milczenie, przyznać musimy zdaniu ostatniemu słuszność należną. Prawdą jest, że staraliśmy się, onego czasu, wyperswadować panu Konicowi myśl uczestniczenia w Zjeździe słowiańskim w Pradze. Niestety, upór jego był tak silny, że, wbrew wszelkim namowom, postanowił na śmiech społeczny się narazić. Śmiech równie wiernym był mu towarzyszem i wówczas, gdy wespół z panem Bibersteinem opuszczając Zjednoczenie Postępowe, wybierał się na Chełmszczyznę, aby nawracać tam unitów na katolicyzm.

Dzisiaj wybiera się do Dumy, uważając dwukrotne salwy śmiechu za dostateczne kwalifikacje na męża stanu. Strzygąc czujnym uchem w stronę obozów zachowawczych, wynosi na targowisko publiczne biedny swój adwokacki rozumek, oznajmiając, że go tanio odstąpi, i szuka chętnych nabywców. Z góry przystając na wszelkie warunki, zrzeka się określonej barwy przekonań i bez zastrzeżeń podpisuje się pod zasadą solidarności bezwzględnej przyszłego Koła polskiego w Petersburgu.

Nic jeszcze wiedzieć nie może o składzie osobistym i przekonaniowym owego Koła, a już chce razem z nim głosować! Gdy więc ono uchwalać będzie szkoły wyznaniowe, pan Konic głos swój, głos „polskiego postępowca” odda za szkołą wyznaniową. Gdyby uchwalano chedery, onby głosował za chederami! Może różnica w działaniu zarysowałaby się jedynie wówczas, gdy wyłoni się kwestja t. zw. konieczności państwowych, dając powtórną panu Konicowi sposobność do wygłoszenia tak pięknej mowy, jak ta, którą uzasadniał w drugiej Dumie uchwalenie rekruta.

Nie wątpimy bynajmniej, że pan Konic jest gorącym patryjotą. Atoli, znając jego przenikliwość, nie możemy oprzeć się zdumieniu, że tyle roszcząc *ambicji*, posiada jednocześnie *godności* — tak mało. A patrząc na jego ciągłe przemycania się z obozu do obozu, politowanie już tylko dlań mamy, gdy siły wsteczne, którym on usługi swe ofiaruje, widząc go znów wracającego, płacą mu za nie zaszczytem — oprawnym w pogardę; i kiedy pan Konic stroi się szarfą ducha polskiego i sięga po mandat z ich ręki,— oni, narodowcy bądź realiści, bądź księża, widzą w nim tylko zdolnego mechesa, tylko sprytnego adwokata, który, w chwili drażliwej, przydać się im może na trybunie poselskiej i którego na trybunę posyłać będą skinieniem, a spędzać z niej — szpicrutą!

W tych dniach.

W tych dniach osadzony został w Cytadeli na przeciąg jednego roku, Andrzej Niemojewski, redaktor *Myśli Niepodległej* i autor broszury p. t. *Objaśnienie Katechizmu*. Godzi się zauważyć, że dziś właśnie uznały władze kościelne dotychczasowy wykład katechizmu za wadliwy; zaś *Prąd* organ klerykalny, wyznaczył 1,000 rs. nagrody za napisanie wzorowego podręcznika w tej dziedzinie. Czy nie byłoby słusznym, żeby nagrodę przyznano więźniowi Cytadeli za inicjatywę w tym kierunku?

W tych dniach również odbyła się w Krakowie rozprawa sądowa w kwestji konfiskaty tomu nowel Marji Walewskiej (hr. Wielopolskiej) pod tytułem *Pani El.* Sąd konfiskatę zatwierdził, dopatrzywszy się we wspomnianym dziele *obrazy religji* i *obyczajności.* Ten sam sąd skonfiskował w swoim czasie *Legendy* Niemojewskiego i dotąd nie pozwala wystawić Wyspiańskiego *Klątwy*, ze względu na zawartą tam również obrazę religji i obyczajności..

W tych dniach wreszcie rozpocznie się w Piotrkowie sprawa o. Damazego Macocha i dwóch jeszcze oo. Paulinów; ci wszyscy stróże religji i obyczajności oskarżeni są o szereg najohydniejszych zbrodni, spełnianych systematycznie pod płaszczykiem żarliwej wiary i obrony dobrych obyczajów,

Ten sam płaszczyk ma na swoich ramionach pobożna cenzura galicyjska.

Millenium.

Opinja rosyjska zaczyna zwracać uwagę na rosnące w głębi kraju gromadne szały na tle mistycznym, do czego przyczynia się głośna propaganda o. Heljodora tudzież pomniejszych „bogo-człowieków", których popisy wprawiają w niemały kłopot wyższą hierarchię duchowieństwa. Niedawno biskup kiszyniowski Cziczagow wystąpił do Synodu z prośbą o wydalenie z klasztoru bałckiego mnicha Innocentego, do którego ściąga mnóstwo pielgrzymów z gub. Besarabskiej, Chersońskiej i Podolskiej, wpadających pod wpływem jego kazań w pewnego rodzaju szał na tle religijnym, łatwo udzielający się innym i przybierający skutkiem tego charakter *epidemiczny*.

Ale dwaj dostojnicy kościelni, arcybiskup irkucki Serafin i biskup bałcki Ambroży ujęli się za o. Innocentym, wskutek czego pozostał on na swym stanowisku, potęgując w dalszym ciągu nastrój religijny ludności okolicznej.

Gdy jednak epidemja doszła do rozmiarów groźnych, wystąpiła ze swej strony rada lekarzy-psychjatrów gub. Chersońskiej, proponując obmyślenie środków zaradczych ze strony wyższych władz duchownych, administracji, ziemstwa i lekarzy, celem ukrócenia szkodliwego wpływu na ludność mnicha kaznodziei.

Tymczasem dokoła klasztoru bałckiego trwają opętańcze orgje religijne: w konwulsjach, podskokach, prysiudach i torsjach „idzie Ruś", jakby powiedział o. Heljodor.

Idzie w całej krasie bizantyjskiego średniowiecza, prymitywnie naga, istotna, szczera, odarta z naleciałości zachodnich, wyzuta z niemieckich doktryn klasowych, rodzima, swoista, całkowita — od lipowych łapci do skołtunionej głowy.

Patrjotom typu mienszykowskiego serce rośnie z radości i chluby.

Bo też od lat blizko tysiąca nie widział świat nic podobnego.

Wichrzyły ongi w Europie gromadne szały religijne, szerzące się nakształt pożogi i zarazy w krajach, ogarniętych obłędem mistycznym na tle Apokalipsy...

Rozhukane hordy biczowników szalały jak huragan, trwoga padła na świat, zawarły się bramy miast, ściągnięto mosty zwodzone, na murach czuwały straże, a dzwony tu i owdzie jękliwie biły na alarm.. Po wsiach wymarłych i zdziczałych, po lasach i polach w zawody z wilkami hasały zgraje obłąkane, wyjąc, szczekając, chichocząc, drąc się zębami i pazurami.

Zwało się to *millenium*; zostały później ruiny; zaległa na długie wieki nędza i martwota.

Dziś, w zaraniu XX wieku, podobna wzdyma się fala na ziemiach wschodniej Europy; tym razem nie jest to zgodna z Apokalipsą zapowiedź rychłego końca świata; nie!— to pierwociny „budzącej się Rusi".

Szczęściem, „budzi się" ta „Ruś" poza obrębem kulturalnego świata, który potrafi ją od granic swoich odepchnąć.

My jesteśmy, niestety, w gorszych warunkach. Wprawdzie debiut szalonego mnicha Heljodora budzi tu dotąd ironiczną tylko ciekawość i rodzaj tego zdumienia, z jakim ogląda się wybitnych furjatów w Tworkach; zapominamy jeno, że Heljodor jest furjatem wcale nieskrępowanym i że słuchają go miljonowe tłumy. Śmiano się niegdyś z Puryszkiewicza— i cóż? Ten „wesołek" jest dziś wpływowym w państwie działaczem; kto wie, jak rychło głośny Heljodor stanie się prawą ręką p. Sablera?

Wszystko jest możliwe w tym kraju który garść ślepych doktrynerów chciała umieścić na czele narodów świata pod wezwaniem Engelsa i Marksa, gdy tymczasem okazuje się z dniem każdym dobitniej, że tkwi on jeszcze po uszy w nocy św. Bartłomieja i czeka na swój Wiek Oświecenia.

Przeciwko wyliczeniom Prusa.

W zeszłym n-rze naszego pisma podaliśmy wyliczenia Prusa, mające uwidocznić w blizkiej perspektywie bajeczne, miljonowe korzyści, jakie na kraj nasz spłyną dzięki zredukowaniu liczby dni świątecznych w roku. Od jednego z czytelników otrzymaliśmy w tej sprawie garść uwag trafnych krytycznie oświetlających wybujałe nadzieje Prusa. Ponieważ mają one charakter ściśle rzeczowy, uważamy za właściwe podzielić się nimi z ogółem czytelników.

„Zupełnie dowolnym i niczem nieuzasadnionym jest twierdzenie Prusa, że im dłuższa i cięższa praca tym jej rezultat cenniejszy, doskonalszy, bardziej pożądany. Przeciwnie, najcięższą pracę ludzką cywilizacja usiłuje uczynić zbyteczną zaprzęgając do niej siły przyrody, a najcenniejsze rezultaty osiąga nie największy wysiłek lecz najinteligentniejsze spożytkowanie pracy. Najbogatszymi są nie te kraje, gdzie dzień roboczy jest najdłuższy, lecz te, gdzie robotnik jest najbardziej oświecony i wyszkolony zawodowo. Ten brak oświaty, kultury i wyszkolenia jest między innymi przyczyną, dlaczego dotąd nietylko wiele towarów, lecz i sił roboczych z zagranicy sprowadzamy.

Hypoteza, że Paweł i Gaweł w ciągu 10 godzin pracy wyprodukują tę samą ilość towaru, że różnica rezultatów będzie wprost proporcjonalna do czasu użytego na robotę, wyda się nazbyt śmiałą każdemu, kto choćby raz uważnie przyglądał się rzemieślnikom naszym przy pracy. Są między nimi tacy, którzy pracując na dniówkę do nieprawdopodobnej doskonałości posunęli sztukę zrobienia jaknajmniej w najdłuższym czasie. Ta umiejętność trwonienia czasu, pracowitego próżniactwa, najwięcej krzewi się w społeczeństwach, w których wypoczynek i zarobki są najskąpiej odmierzane.

Praca niewolnicza, praca pańszczyźniana wytwarzają w tym kierunku głęboko zakorzenione nałogi.

Mówiąc o zwyczajach panujących w bogatych krajach Zachodu pominął Prus przykład Anglji i jej zwyczaj ścisłego świętowania niedzieli. Czy w porównaniu z Francją, gdzie praca niedzielna jest w zwyczaju, bogactwa jej są o tyle miljardów mniejsze, ile wyniosłaby różnica obliczona wedle metody zastosowanej do świętującego Gawła i nieświętującego Pawła? Prócz ścisłego wypoczynku niedzielnego i w związku z nim w wielu gałęziach pracy wprowadzono w Anglji wolne popołudnia w sobotę dla umożliwienia pracującym poczynienia zakupów oraz użycia rozrywek.

W sumie uczyni to wiele większy uszczerbek niż 10 dni świątecznych w roku, a Anglja nie bankrutuje. W niektórych krajach zachodu wprowadzono tu i owdzie doroczne dwutygodniowe płatne urlopy

dla robotników. Ktokolwiek sam na sobie doznał skutków przemęczenia i dobrodziejstw wakacji musi przyznać, że chyba każdej istocie ludzkiej choć krótki okres zupełnego oderwania się od pracy jest nietylko niezbędny dla zdrowia, lecz korzystny dla jakości i wydajności jej pracy.

Dwa tygodnie świąt! Ileż to miljardów rubli uczyni po 25 latach, jeśli zwyczaj rozszerzy się na setki tysięcy robotników!

I Prus chyba jednak nie wierzy, aby tą drogą którykolwiek z ucywilizowanych krajów miał dojść do bankructwa.

Nie o to bynajmniej chodzi, aby przeciwko redukcji świąt protestować. Sądzimy jednak, że przywiązywanie do tej reformy zbyt daleko idących nadziei jest błędnym. Nie przysporzy nam ona miljardów; tych trzebaby szukać na drodze innych, głębiej sięgających reform."

Sąd i Wyrok.

Skazanie hr. Ronikiera położyło kres długim, męczącym rozprawom, które przykuwały niewolniczo do siebie uwagę całego kraju. Daremnie ten i ów usiłował walczyć z potęgą niepokonanej hypnozy, jaka ogarnęła tłumy: można powiedzieć, iż w przeciągu dwóch tygodni nasza opinja, nasza prasa, nasza publiczność żyła i oddychała nie pod jasnymi przestworami nieba, ale pod krwawą łuną zbrodni, zasłaniającej cały widnokrąg. O napięciu sensacji wnosić można stąd, że pisma codzienne zmuszone były zdwoić liczbę nakładu, aby sprostać burzliwej fali zainteresowania.

Zainteresowanie to płynęło z tych samych instynktów, które każą nam patrzeć na dzieje Szekspirowskiego Ryszarda, lub z zapartym oddechem zstępować w piekielne kręgi przepaścistej wyobraźni Danta. Z niesamowitą rozkoszą i z sercem ściśniętym przez żelazne szpony, patrzy człowiek na krańcowe odchylenia swej natury: z jednakim dreszczem zgrozy i uniesienia bierze w duszę swą jęk potępieńczy i hymny anielstwa.

Sprawa Ronikiera ujawniła dziwny, niezwykły splot rzeczy jasnych i rzeczy okropnych, i stąd ów tragizm, tak niesłychanie potworny w złowrogim świetle kontrastów: z jednej strony niewinna, ufna młodość, a raczej pacholęca jeszcze, dziecięco bezbronna nieświadomość, z drugiej — zbójnicza, zuchwała ohyda mordu; a oto miłość ojcowska, miłość zazdrosna, bezgraniczna, wyłączna i aż do szaleństwa dumna, nagle ramieniem kata powalona w proch, aby z jaskini krwawej podjąć zwłoki syna. A ów wykwintny morderca, gwiazda salonów, wczoraj jeszcze nadający ton świetnościom towarzyskich zabaw, karcący zleka śmiechem wesołym drobne grzechy społeczeństwa, a jutro, być może, katorżnik, w dozgonne zakuty łańcuchy, zakrywający przepaść, jaka u stóp jego się otwiera, szeptem modłów i zwojem różańca, spokojny jak kolumna nocy i jak noc straszny, — cóż za odmęt nieludzkich sprzeczności: bo spójrzcie, po przez czarną noc okropności, jaka postać zbrodniarza otacza, przedziera się niepokalany promień miłości i wiary: serce matki i serce żony odnajdują w sobie ów najwyższy heroizm nadziei, karmionej — rozpaczą i miłości pojonej męką. A ówże starzec, skamieniały w bólu, miljoner i zarazem nędzarz, ciskający w otchłań, po stracie syna pozostałą, życie swej córki, niezmordowany w zemście i na rany serca swego kładnący balsam — okrucieństwa: cóż to za zgrozą wstrząsający widok! I wreszcie, — korona i dopełnienie kontrastu, — ten-że starzec, na zwłokach syna jęczący, dobywa z siebie dość odwagi i praktycznego zmysłu, aby obliczyć cenę grobowych desek na trumnę dla dziedzica swego imienia i swych włości, których ogromu sam ogarnąć nie zdolen, oblicza ją skrupulatnie, i na cele oświaty, na wpisy dla młodzieży, asygnuje, — nie z własnych miljonów, — ale z kieszeni sutenera, z niecnych zarobków nierządu, sumę kosztów żałoby, w której ojcowski jego ból szedł za zwłokami syna!... Ojciec, zmiażdżony nieszczęściem, i z pod gruzów okropnego nieszczęścia rwący się ku domniemanemu zabójcy, aby zażądać odeń zwrotu kosztów za pienia religijne i za modły kapłanów, uspakajające duszę wiarą w sprawiedliwość i mądrość wyroków bożych, — zaiste, brak nam tchu, albowiem stanęliśmy po za atmosferą uczuć i wzruszeń ludzkich.

Zgroza! zgroza! zgroza!

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Dokoła zamachu.* Cała prasa polska z powodu tragicznej śmierci premjera podając mniej lub więcej szczegółowy zarys jego życia i działalności lat ostatnich, zaznacza zgodnie, że mimo wielkich zdolności i żelaznej siły woli zmarły obracał się w błędnym kole metod represyjnych z wielką dla państwa szkodą. *Kurjer Poranny* temi słowy określa obecny stan rzeczy:

> U progu nowego okresu sfery rządzące państwem stoją znowu przed punktem wyjścia, z którego wyszła polityka zmarłego męża stanu. Hasło: naprzód uspokojenie, potem reformy — nie wydało pożądanych plonów. Terror, który się srożył po rozwiązaniu pierwszej Dumy, nanowo podniósł głowę. System zwalczania organizacji rewolucyjnych za pomocą wzajemnego stopienia sił pomocniczych ochrany z agentami akcji bezpośredniej wydał jakuajfatalniejsze owoce. Jeżeli z rewelacji Burcewa okazało się, że dwa główne zamachy przedkonstytucyjne organizowane były wprost przez osławionego Azefa, zamach kijowski dowiódł, że naczelnicy ochrany sami nie umieją się już wyznać w tym zamęcie, jaki zwolna wytworzyli i nie potrafią dokładnie oznaczyć, który z agentów politycznych służy przewrotowi a który porządkowi istniejącego prawnie porządku. Konieczność zawrotu z błędnych torów jest zbyt w oczy bijąca, aby nie była rozważana w kołach rozstrzygających.

Słowo zaznacza, że rząd z p. Stołypinem na czele pozwolił unieść się prądowi „poskramiania przewrotu" tak daleko, że powrót do zasad październikowych stał się niemożliwy. Zbyt ściśle sprzymierzono się w tym poskramianiu ze wstecznikami, by można było przymierze rozwiązać.

> W takim stanie rzeczy p. Stołypin dosiadł rumaka nacjonalizmu, jedynej ucieczki wszystkich tych, którzy poddając się prądom wsteczniczym pragną zachować pozory liberalne. Prawa obywatelskie?... Dobrze, ale tylko dla Rosjan. Wolność wyznaniowa?... Jeszcze lepiej, ale tylko dla wyznania uprzywilejowanego?... Samorząd, ale dla urzędników kresowych, przedstawicielstwo ustawodawcze, ale dla zwolenników polityki rządowej. Sama prawica dziwiła się zaszłej ewolucji, ale jej nie ufała, nie ufała zwłaszcza dlatego, że uprawiany przez p. Stołypina nacjonalizm wysunął na widownię jakiś dziwny zastęp ludzi, którzy rościć sobie zaczęli prawa do udziału w rządach, do kierownictwa sterem państwa. Jacyś panowie, którzy za dawnych czasów byliby conajmniej drobnymi urzędnikami na prowincji, zaczęli rozbijać się po stolicy, wydawać dyktujące rządowi swoje rozkazy czasopisma, pisać najzuchwalsze listy, tworzyć delegacje, orędować i żądać. System zgasłego wczoraj prezesa ministrów wywołał te istoty z ich kryjówek, wysunął na światło dzienne, kazał światu całemu przyglądać się ich swarom i ich pogoni za zyskami. Nigdy, jeszcze tyle na raz nie wyrzucono przed oczy ludz-

kie błota i brudu, nigdy tak jawnie nie rozprawiano o „ciemnych" pieniądzach, o zapomogach, jurgieltnictwie, wyzysku, nigdy nie ujadano się tak wzajemnie, nigdy nie wywoływano tyle niesmaku i wstrętu.

Jakoż nie ulega wątpliwości, że o ile następcy zmarłego premjera zechcą oczyścić atmosferę polityczną Rosji, będą mieli uprzednio sporo mozołu z licznym i możnym zastępem ciemnych „istot", rozpanoszonych u szczytu dzięki właśnie specyficznej polityce kresowej.

* *Gazeta Warszawska*, zastanowiwszy się głębiej nad tą polityką, doszła do niespodziewanych wniosków, a mianowicie, potępiła surowo nacjonalizm w jego „zoologicznej formie nienawiści do „obcoplemieńców", która nie może być „twórczym czynnikiem życia państwowego".

Nacjonalistyczny kierunek polityki p. Stołypina odbił się, oczywiście, w sposób bolesny na społeczeństwie polskim.

W swoich wystąpieniach publicznych P. Stołypin odzywał się zawsze o narodzie naszym z uznaniem i szacunkiem. Wyprowadzał stąd jednak dziwne konsekwencje.

Z uznania dla wysokich pobudek i wielkiej siły żywotnej patryotyzmu polskiego, wyprowadzał wniosek o konieczności ograniczenia żywiołu polskiego w ziemstwach w kurji specjalnej; z szacunku dla kultury polskiej — zamykał polskie instytucje oświatowe i kulturalne, jak Macierz Szkolna, „Sokół" i inne. Przyparty do muru przez przedstawiciela Koła Polskiego w kwestji programu rządu w sprawie polskiej, P. Stołypin odpowiedział, iż Rosja jest zbyt słaba, by sobie mogła pozwolić na luksus autonomji Królestwa Polskiego.

P. Stołypin uważał jednak widocznie Rosję za dostatecznie silną, by zniszczyć mogła autonomję Finlandji.

Projekt wyłączenia Chełmszczyzny z Królestwa motywowany był również przez P. Stołypina koniecznością „obrony" żywiołu rosyjskiego wobec nacisku polskości i katolicyzmu.

„Takie motywowanie polityki antypolskiej — kończy publicysta *Gazety* — względami na konieczność „obrony" zbyt żywo przypominało wzory pruskie i osłabiało przekonanie co do twórczej samodzielności umysłu premiera rosyjskiego". Zarzut co najmniej dziwny w organie stronnictwa, które przez długi czas naśladowało „wzory pruskie" na polskiej ziemi, a i dotąd nie pozbyło się swego do nich przywiązania.

* W przeddzień katastrofy pisał korespondent warszawskiego *Słowa:*

W uroczystościach kijowskich uczestniczą także Polacy, piastujący godności dworskie, członkowie Rady Państwa, oraz przedstawiciele szlachty miejscowej i nowych instytucji ziemskich. Są tedy obecni w Kijowie: książę Sanguszko, Józef hr. Potocki, Ksawery i Władysław hr. Braniccy, T. hr. Grocholski, Ksaw. hr. Orłowski, p. Stan. Horwatt, hr. Bniński, hr. Krasicki, pp. Franciszek i Władysław Jaroszyńscy, z których pierwszy otrzymał urząd dworski z powodu ofiarowania wspaniałych brył granitu z Gniewania na podstawę odsłoniętego w Najwyższej obecności pomnika ces. Aleksandra II i inni.

Ze swej strony *Dziennik Kijowski* podaje następujące szczegóły zamachu, zebrane od naocznych świadków:

W drugim antrakcie, około g. 10—11, prezes Rady ministrów wraz z ministrem wojny stanęli około balustrady, odzielającej orkiestrę od widowni, przyglądając się publiczności. Do rozmawiających przyłączył się hr. Józef Potocki i po krótkiej wymianie zdań wziął z rąk prezesa ministrów lornetkę i skierował ją w stronę lóż. W tej chwili do tej grupy zbliżył się Bagrow i strzelił dwukrotnie, omal nie raniąc hr. Potockiego. Następnie morderca próbował zbiedz. W pierwszej chwili zamętu nikt go nie starał się wstrzymać i dopiero hr. Stanisław Czapski z okrzykiem: „stój, trzymaj", rzucił się ku zbrodniarzowi. Ten jednak wywinął się, lecz po kilku krokach został schwytany przez Kozincewa i Ritmajera, którzy go ostatecznie obezwładnili. Wówczas dopiero tłum rzucił się na złapanego już, powalił go na ziemię, bijąc, depcąc nogami, kłójąc szpadami i płazując. Dopiero na korytarzu policji i odważniejszym osobom udało się go wyrwać z rąk rozszalałej publiczności. W czasie szamotania się, jeden z obecnych, p. Rogoziński schwycił podobno wysuwający się z kieszeni Bagrowa bilet wejścia i przy świadkach doręczył go władzom policyjnym, przyczym wówczas stwierdzono numer miejsca, zajmowanego przez Bagrowa.

Jak wiadomo, zmarły premjer pertraktował z hr. Stanisławem Czapskim o nabycie części jego majątków litewskich. Nazajutrz po zamachu *Gazeta Warszawska* zamieściła telegram tej treści: „Członkowie Rady Państwa Horwatt i Ksawery hr. Orławski wysłali adres najpoddańszy z wyrażeniem uczuć wiernopoddańczych i otrzymali od Kokowcewa list z odpowiedzią Najwyższą, z wyrażeniem szczerej wdzięczności za wysłanie adresu i prośbą poinformowania o tym ludności polskiej.

* *Z oślej łąki.* W rubryce pod tym tytułem wystawiać będziemy na pokaz kwiatki wszelkiego nonsensu, kwitnące na łamach pism polskich, bez różnicy kierunków i odcieni.

Świat (Nr. 37) zamieszcza notatkę p. t. „Redaktor *Wolnej Myśli* odsiaduje twierdzę".

W tym samym N-rze zamieszczona rycina przedstawia „Pływaka Burgess'a, odżywianego przez towarzyszącego mu *lotnika*".

KRONIKA.

WZROST MIAST W PAŃSTWIE ROSYJSKIM W ciągu ostatnich lat 50-ciu prawdziwie po „amerykańsku" wzrastały skupiska miejskie państwa rosyjskiego. Tak, iż obecnie jest w obszarach jego już 30 miast z ludnością w liczbie 100 tysięcy i więcej, Poniżej podajemy liczbę mieszkańców całego szeregu większych miast. Cyfry w nawiasach oznaczają liczbę mieszkańców przed 50-ciu laty.

Petersburg—1,907 tys. (505 tys.) Moskwa 1,520 tys. (359 tys.) Warszawa — 848 tys. (180 tys.) Odesa 510 tys. (125 tys.) Łódź 385 tys. (35 tys). Ryga 350 tys. (102 tys). Charków 220 tys. (60 tys.) Saratów 205 tys. Baku 202 tys. (20 tys.) Tyflis 200 tys. (70 tys.) Wilno 198 tys. (80 tys.) Taszkient 188 tys. (80 tys.) Rostów 160 tys. (38 tys.) Jekaterynosław. 150 tys. (25 tys.) Astrachań 148 tys. (47 tys.) Kazań 145 tys. (70 tys.) Helsingfors 140 tys. (35 tys.) Tuła 132 tys. (60 tys.) Kiszyniow 130 tys (84 tys.) Mińsk 110 tys. (30 tys.) i t. d.

Z wykazu powyższego okazuje się, że największy przyrost ludności w ciągu ostatniego 50-lecia przypada na „Manchester polski"; ludność Łodzi w okresie tym zwiększyła się przeszło *dzesięciokrotnie.*

ZAWODY WYZWOLONE W POZNAŃSKIM. W r. 1895 w Wielkopolsce było 227 Niemców i 176 Polaków lekarzy, a w r. 1908 — już 361 Niemców, a 188 Polaków.

W r. 1895 było tu 115 prawników Niemców i 47 Polaków, a w r. 1908 już 159 Niemców, a 62 Polaków. Aptekarzy było w r. 1908 — 102 Niemców (w r. 1895—89) i 53 Polaków (przyrost od r. 1895 — 9).

WALKA O ZIEMIĘ... W rejencji wrocławskiej w pow. wołowskim majątek Pakuświce obszaru 350 morgów przeszedł w ręce polskie. Jest to już V ty majątek, nabyty w pow. wołowskim przez Polaków z rąk niemieckich. Dalej w pow. głogowskim majątek rycerski Froeschroggen (?) odprzedał Niemiec — polskiemu gospodarzowi. To samo stało się z 80-o morgowym gospodarstwem w Małych Baulwiach, gdzie również przeszło drugie mniejsze gospodarstwo w polskie ręce. Ogółem wykupili Polacy 430 morgów i dwie posiadłości o niepodawanej przez pisma rozległości.

Przejdźmy teraz w Poznańskie.

Tu żadna większa posiadłość nie przeszła, w tym czasie, w ręce polskie. Nawet donoszą o zaprzepaszczeniu paru gospodarstw. Trzy polskie drobne posiadłości obszaru stu kilkudziesięciu morgów przeszły w ręce niemieckie w pow. koźmińskim. W pow. śremskim zaś 120-o morgowe gospodarstwo w Radoszkowie (pod Książem) nabył p. Jouanne — zięć osławionego „arcyhakatysty" Kennemanna. W tymże powiecie śremskim w Mszczyczynie p. Stawski nabył drogą przetargu gospodarstwo, będące w rękach Niemca.

Dość zato pocieszające wieści idą z dzielnicy mazursko-ewangelickiej — Prus Wschodnich.

W powiecie ostródzkim w ręce polskie z niemieckich przeszło znów 3 majętności. P. Pasykiewicz nabył 390 morgowy folwark Langszyn w pobliżu dziejowego pobojowiska grunwaldzkiego. Tomaszyn obszaru 215 mórg kupił p. Przydrożny. Piękną zaś posiadłość Annenhorst (?) obszaru 600 morgów sprzedał Niemiec za 225,000 mr. Polakom, osiągnąwszy czystego zysku 25,000 mr. Polacy płacą więc po 425 marek za mórg, gdy przed kilku laty na Mazurach płacono 150 — 200 marek. Majątek Tęguty około 800 mg. obszaru wykupił z rąk niemieckich w pow. olsztyńskim p. Duwalski z Prus Zachodnich. Ogółem w ciągu 2-ch pierwszych tygodni zeszłego miesiąca Polacy nabyli w Prusach książęcych 2,000 mórg ziemi. Ogółem zaś, jeśli dodamy wiadome nam obszary wykupionych posiadłości, Polacy nabyli przeszło 2,500 mórg ziemi.

WYDATKI WOJENNE MOCARSTW. W piśmie *Nautilus* podano następujące zestawienie danych dotyczących wydatków na utrzymanie armji i floty.

Ogólny wydatek na utrzymanie sił zbrojnych wynosi we frankach 9½ miljardów. Na jednego mieszkańca wypada:

	w miljonach franków	na armję	na flotę
Anglja	1,815	15,12	25,05
Rosja	1,606	8,52	1,94
Niemcy	1,573	15,39	8,56
Stany Zjedn. . .	1,367	7,46	7,13
Francja	1,315	22,67	10,52
Austro-Węgry . .	686	10,67	2,50
Włochy	590	11,37	5,60
Japonja	483	5,00	4,37

Wydatki na flotę oraz liczebność marynarki podano poniżej.

Wydatki na flotę:

	w miljonach franków	ilość osób
Anglja	1,132	134,535
Stany Zjedn.	668	60,500
Niemcy	563	60,800
Francja	416	60,000
Rosja	297	46,000
Japonja	226	48,000
Włochy.	195	31,000
Austro-Węgry . . .	137	16,400

Ogólna suma budżetów na flotę dochodzi do 3,6 miljardów franków.

WSZECHNICE W GALICJI. Wedle sprawozdania za półrocze letnie roku 1910/11 było na wszechnicy we Lwowie 4,487 słuchaczów i słuchaczek. Na wydziale teologicznym liczono ich 357 (352 zwyczajnych, 5 nadzwyczajnych). Na wydział prawa zapisało się 2,800 słuchaczów, w tel liczbie 29 nadzwyczajnych. Wydział medyczny miał 402 słuchaczów (w tym 72 zwyczajnych i 5 nadzwyczajnych słuchaczek). Na wydziale filozoficznzm było zapisanych 928, mianowicie 462 słuchaczów, 190 słuchaczek zwyczajnych, jako też 127 słuchaczów w tej liczbie 62 kaydydatów na nauczycieli szkół realnych i 65 farmaceutów) i 143 słuchaczek (132 kandydatek na nauczycielki szkół realnych i 11 farmaceutek) nadzwyczajnych, wreszcie 6 hospitantek. Wszechnica Jagiellońska w Krakowie miała ogółem 2,996 słuczaczów. Na teologję uczęszczało tam 97 słuchaczów, na wydział prawniczy 1,291 zwyczajnych i 13 nadzwyczajnych słuchac zów; na wydział lekarski 414 słuchaczów i 40 słuchaczek zwyczajnych, a 13 słuchaczów i 3 słuchaczek nadzwyczajnych; na wydział filozoficzny, 1,156, a mianowicie: 685 słuchaczów i 185 słuchaczek zwyczajnych, a 150 słuchachów, w tej liczbie 19 kandydatów na nauczycieli szkół realnych i 32 farmaceutów, jako też 98 słuchaczek (między niemi 5 farmaceutek) nadzwyczajnych, nakoniec 38 hospitanek.

Notatnik wydawniczy.

Ekonomisty tom III-ci zawiera zapowiedź konkursu, rozpisanego z powodu dziesięciolecia wydawnictwa *Ekonomisty*; bogatą treść tego pożytecznego ćwierćrocznika wypełniają następujące prace: Dr. Zofjia Daszyńska-Golińska mówi o „Demografji jako nauce" dając nam przyczynek do metodologji nauk społecznych; p. Stanisław Plewiński w rzeczowym i b. obszernym artykule p. n. „Przemysł cukrowniczy w latach 1907—1910" daje ciekawy obraz stosunków cukrowniczych; p. Emil Caspari z Katowic w szkicu statystycznych „Wielka własność ziemska w polskich powiatach Górnego Ślązka" przytacza wiele niezwykle ciekawego materjału liczbowego wyjaśniającego nam stosunki ziemskie w tej tak, niestety, mało przez nas znanej i poznawanej dzielnicy; dział artykułowy kończy praca, również ciekawa jak i inne, nosząca nagłówek: „Odłużenie własności ziemskiej na Litwie" — p. A. Łętowskiego. Kończy obszerny i pouczający zeszyt *Ekonomisty* zwykła — „Kronika" „Rozbiory i Sprawozdania" wraz z „Bibljografją".

OFIARY.

Na wpisy dla uczni prywatnych szkoł polskich. średnich w Warszawie: Marja Hulanicka z m. Czeczelnika, Podolskiej gub. — rb. 75.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

16-letniemu prenumeratorowi. Mercure de France mieści się w Paryżu, *26 rue de Condé*

Pp. J. i G. Macie panowie słuszność, to też w artykule naszym p. n. „Z wrażeń teatralnych" nie mieliśmy zamiaru zaprzeczać talentu pani Mirskiej, chodziło nam jeno o zwrócenie uwagi sfer miarodajnych na ogólny brak wybitniejszych talentów kobiecych w zakresie ról salonowych, dzięki czemu artystki nawet utalentowane muszą grywać role nie odpowiadające rodzajowi ich uzdolnienia.

SPROSTOWANIE.

W numerze 37 (str. 7) w artykule *Organizacja kooperatywy spożywczej* zamiast „Polega on (proces inkorporacji) na tym, że zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów, które na własne ryzyko założyło jakieś przedsiębiorstwo, normuje jego produkcję i stopniowo przekształca zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów w swoich najemników"

powinno być:

„Polega on (proces inkorporacji) na tym, że zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów, które na własne ryzyko założyło jakieś przedsiębiorstwo *i nie może się uporać z trudnościami handlowymi, jak kredyt i zbyt, oddaje się pod opiekę kooperatywy spożywczej; ta* normuje jego produkcję i stopniowo przekształca zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów w swoich najemników".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.